

BLUSZCZ

*spoleczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecym*



W a r s z a w a,

S o l e c 87.

„BLUSZCZ“

spoleczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3

telefon 6-76-72.

telefon 2-44-18.

Redaktor ki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła“ pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-05

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Jak możnaby przedłużyć wakacje? — *Wanda Ivanka-Prażmowska* Nieumyślna cnota — *Wanda Melcer*. Poezje: Morze — *Stanisława Sznaper*. Święto morza — *M. H. Szpyrkówna*. Plaża — *Janina Wyczółkowska-Surynowa*. Kolorowy mistrz igły — *Hanna Skarbek*. Dom pracy dobrowolnej — *St. Osńska*. Nieznana pisarka niemiecka — *Ludwik Fryde*. Laureatka konkursu wiedeńskiego — *St. Sznaper*. Z teatrów — *S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia — *H. N. Osiedle*. Nasza mównica: Małżeństwo koleżeńskie — *Wera Tropaczynska-Ogarkowa*. Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Lipiec w ogrodzie — *Romiszewska*. Kwiaty pokojowe w lipcu — *Marja Dąbrowa*. Przesyłka kwiatów ciętych — *Marja Dąbrowa*. Tępienie robactwa w ogrodzie — *Marja Dąbrowa*. Wyrób żelatyny — *Marja Dąbrowa*. Odzwyczajenie kwok od siedzenia — *Romiszewska*. Dom i gospodarstwo: Co i gdzie — *M. Dobrowolska*. Skarby morza — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Melba*.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5,20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Solec 87 i Ś-to Krzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. — WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszczy“, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

| | | | | | |
|---------------------------|---------|-----------------|-------------------------|-------------------------|---------|
| | zł. | | | zł. | |
| $\frac{1}{1}$ str. tekstu | — 700.— | Okładka III-cia | } | $\frac{1}{1}$ str. okł. | — 500.— |
| $\frac{1}{2}$ „ „ | — 400.— | | | $\frac{1}{2}$ „ „ | — 250.— |
| $\frac{1}{4}$ „ „ | — 200.— | | | $\frac{1}{4}$ „ „ | — 150.— |
| $\frac{1}{8}$ „ „ | — 100.— | | | $\frac{1}{8}$ „ „ | — 80.— |
| $\frac{1}{16}$ „ „ | — 50.— | | | $\frac{1}{16}$ „ „ | — 50.— |
| $\frac{1}{32}$ „ „ | — 30.— | | | $\frac{1}{32}$ „ „ | — 30.— |
| | | | | Okładka IV-ta | } |
| | | | $\frac{1}{1}$ str. okł. | | |
| | | | | | zł. |

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszczy“ — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-05. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ“ ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU“ powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

BLUSTOZ

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Jak możnaby przedłużyć wakacje

I

Nadchodzą wakacje, wymarzony, zdawna oczekiwany wypoczynek. Te cztery tygodnie urlopu pracującego człowieka, to przystań dla naszych marzeń i tęsknot, pole dla tylu pięknych planów i projektów. Ale gdy tylko po tych dorocznych wakacjach wrócimy do domu, będziemy rozgoryczeni, że ten wypoczynek trwał tak krótko i że aż jedenaście miesięcy trzeba czekać na to, aby znowu stać się panem własnego czasu. Zapominamy o tem, że przecież dla wypoczynku naszego zostały stworzone nie tylko te czterotygodniowe wakacje, ale również i niedziele i czas wolny od pracy. Przecież i te chwile to nasze wakacje, czyż nie powinny one stać się częścią naszych planów i projektów?

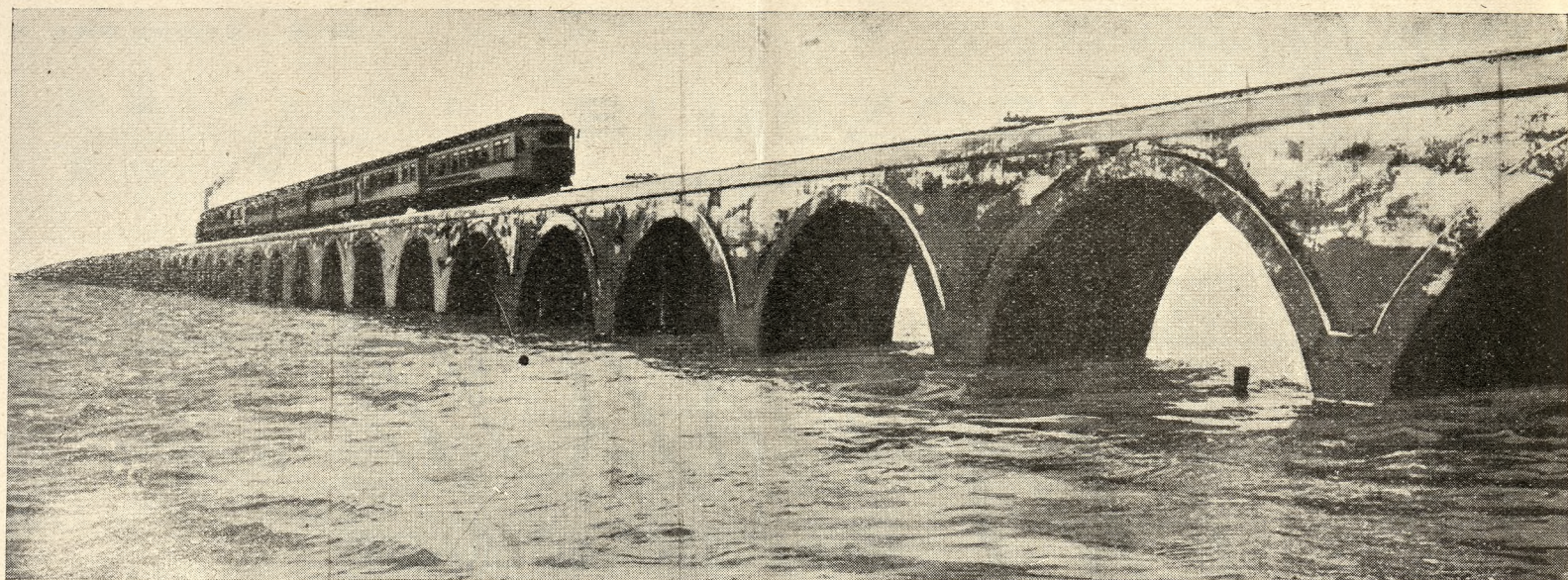
Socjologowie amerykańscy powiedzieli już dawno, że w nowoczesnych społeczeństwach, gdzie 8 godzin przeznaczają się na pracę, 8 godzin na sen, a 8 pozostaje wolne, kultura społeczeństw zależy przede wszystkim od tego, co robimy z owymi ośmioma godzinami wolnego czasu. To też w Ameryce od wielu lat zbierają się corocznie kongresy dla sprawy „recreation”, kongresy, w których biorą udział najpoważniejsi socjologowie i działacze społeczni. Problem „recreation” bowiem, po polsku powiedzielibyśmy „wczasów”, jest i powinien być problemem społeczno-państwowym. Te trzy poważne słowa „problem społeczno-państwowy” wprowadziły pewno czytelników w nastrój poważny, nasunęły myśli o jakimś ultra poważnym poświęcaniu się społecznemu w godzinach wolnych. Otóż właśnie chodzi mi o rzecz wręcz przeciwną — uważam, że problemem państwowym jest to, aby ludzie wolny czas przeznaczali na zabawę. Odpowie mi kto na to,

że to już zbyt niepoważne, aby nawoływać ludzi do zabawy w dzisiejszych ciężkich czasach. Mój Boże, zdaniem ekonomistów kryzys będzie trwał dłużej, niż życie naszego pokolenia, czyż dlatego mamy się wyrzec myśli o zabawie? Czyż nie lepiej przystosujemy się do kryzysu na wesoło, niż na smutno?

Zresztą sprawa przeznaczenia wolnego czasu na zabawę, to nie jest rzecz aktualna dla naszego pokolenia, to sprawa niemal odwieczna. Kto nie wierzy, niech sięgnie do Arystotelesa. U tego największego geniusza myśli ludzkiej znajdzie zdanie: „Nawet dla dorosłych zabawa powinna być koniecznym celem w życiu, gdyż ten, kto pracuje pilnie, potrzebuje rozrywki. Bierzymy udział w grze poto, aby dała nam ona odprężenie”.

Jeżeli od czasów Arystotelesa warunki naszego życia uległy zmianie, to chyba tylko o tyle, że myśl tego mędrca jest w nowoczesnej cywilizacji jeszcze trafniejsza. Rzemieślnikowi-artyście czasów starożytnych czy średniowiecznych praca mogła sprawiać przyjemność, była zaspokojeniem jego potrzeby twórczości. Dziś przy zmechanizowanej automatycznej pracy, pracy najczęściej niedopasowanej do naszych zamiłowań i naszych możliwości, musimy w czym innym szukać wyładowań dla naszych instynktów twórczych. Czas wolny musi nam dać rekompensatę; jeśli temat pracy nie daje nam zadowolenia, musimy tego zadowolenia szukać w rozrywce.

Kiedy obserwuję ludzi bawiących się, kiedy analizuję rodzaje rozrywek, które są najpopularniejsze, to nasuwa mi się twierdzenie, że większość ludzi w rozrywce szuka *ucieczki od rzeczywistości*. Tu oto gro-



madka ludzi stoi na wiadukcie kolejowym i tęsknym wzrokiem patrzy na mknące w dali błyskawice szyn. Każdy z nich marzy pewno w tej chwili, aby te błyszczące szyny uniosły go wdal, w nieznane egzotyczne kraje, inne od jego szarej rzeczywistości. Tęsknota za nieznanem, za niecodziennem to silny bodziec w duszy ludzkiej, słabnący może tylko w tych chwilach, kiedy jesteśmy bardzo szczęśliwi. A te chwile nie są częste...

Zostawmy ludzi stojących na wiadukcie kolejowym i idźmy dalej ulicami miasta. Przed kinematografami tłoczno. W dusznych salach tłumy ludzi wpatrzonych w biały ekran. Na tym ekranie nie widzą siebie i swoich codziennych zajęć — nie. Na taki film nie poszedłby nikt. Publiczność chce, aby na ekranie były rzeczy ładne i przyjemne, widzowie chcą choćby przez te dwie godziny żyć życiem bohaterów ekranu. Im jest ono świetniejsze i barwniejsze, tem łatwiej zapomina się o szarzyźnie swego życia. Znowu ucieczka od rzeczywistości. *A bridge?* Czyż nie zapomina się o swoich kłopotach i zmartwieniach wtedy, kiedy najważniejszym problemem jest to, czy położyć damę czy asa. Czyż te godziny spędzone przy stoliku brydżowym, to nie ucieczka od rzeczywistości. A wyjazd *kajakiem*, a godziny gry w *tennisa*, czyż to nie jest oderwanie się od zwykłych swych zajęć i trosk?

Ale nie upraszczajmy sprawy. Nie każda nasza rozrywka jest chęcią ucieczki od rzeczywistości. Amerykański socjolog Jacks wymienia 4 motywy, które jego zdaniem skłaniają ludzi do rozrywek. Są to: *zainteresowanie płcią odmienną, instynkt hazardu, chęć pokazania się*, np. pokazania swego stroju, wreszcie *przyjemność patrzenia*, np. na widowisko, na zawody sportowe i t. d. Może trzebaby trochę z Jacksem podyskutować, ale dla nas nie to będzie w tej chwili istotne.

Najważniejsze, że bez względu na to, jaki instynkt dyktuje nam potrzebę rozrywki, dostarczycielami tej rozrywki, tymi, którzy przesadzają o jej wyborze, są najczęściej ludzie, którzy myślą o własnej kieszeni, a nie o naszej korzyści. Ten sam Jacks mówi:

„Człowiek nie jest już więcej panem własnego wolnego czasu, jak byli jego przodkowie. Z każdej strony mistrzowscy operatorzy wystudjowali, nierzadko z pomocą psychologii, słabe punkty człowieka, aby móc dla siebie skapitalizować jego czas wolny. Czasem myślę, że główny użytek, jakiemu dziś służy psychologia, jest ten, żeby wystudjować owe słabe strony naszego otoczenia z punktu widzenia zrobienia na tem pieniędzy. Człowiek otoczony jest operatorami, którzy w każdej chwili dostarczają mu za odpowiednie pieniądze rozrywki już gotowe“.

Tej akcji, którą za Jacksem możemy nazwać akcją rozrywek skomercjalizowanych, usiłują działacze społeczni przeciwstawić akcję inną. Moglibyśmy ją nazwać akcją rozrywek godziwych. Prawda, jaka to nie zachęcająca nazwa? Rzeczy godziwe nie zawsze są pociągające. Inicjatorom godziwych rozrywek przeciwstawiają się ci, którzy mówią: „dajmy społeczeństwu to, co ono lubi, organizujmy te rozrywki, które mają największe powodzenie“. Z tem możnaby się jednak nie zgodzić. Ktoś trafnie powiedział, że w takim razie organizujmy palarnie opium, bo te będą miały napewno największe powodzenie. Między temi krańcowościami musimy znaleźć złoty środek, musimy umożliwić ludziom uprawianie rozrywek, które będą pociągające i pożyteczne zarazem.

Tu będzie przedewszystkiem miejsce na sporty, turystykę, campingi. Dobrze spędzony koniec tygodnia, ów weekend znany z literatury angielskiej, to wielka zdobycz codziennego życia. Wyprawa kajakowa, to lepsza ucieczka od rzeczywistości, niż kino, bo pozwoli nam wyladować naszą aktywność, da nam radość ruchu, radość wysiłku na świeżem powietrzu. O ileż ciekawsze będzie nasze życie, nie będzie ono płynęło jedenastomiesięcznymi etapami od urlopu do urlopu, a sześciodniowymi okresami, oddzielonemi półtoradniowym wypoczynkiem na świeżem powietrzu. Nie trzeba będzie już od września marzyć o następnym letnim urlopie, bo będziemy mieli jeszcze przed sobą kilkadziesiąt niedziel wioślarskich, narciarskich, czy wycieczkowych, niedziel barwnych i radosnych. Wtedy będziemy mieli nie cztery tygodnie wakacyj, ale o wiele więcej.

Wanda Ivanka-Prażmowska.

Tam grały przygotowane orkiestry: ktoś przemawiał z balkonu. Wtedy Adela zemdląła, ale kiedy ją ocucili wodą z jakiejś apteki, poszła dalej pieszo, aż na Powązki.

Na Powązkach były znowu mowy, czule i dobrze powiedziane przez dawniejszych kolegów z ministerstwa i przez jakichś obcych ludzi. Szczególnie jedna była wzruszająca i płomienna: chciała się ona mścić na tych, którzy skrzywdzili ojca i mówiła, że wszyscy upadamy pod brzemieniem socjalnych niesprawiedliwości.

Kiedy mówił, Adela czuła jak on i myślała z nim razem. Potem zresztą zapomnieli o nim wszyscy i nikt się już nie mścił.

Na drugi dzień Rozalja oddała Adelci portfel ojca i różne, znalezione przy nim drobiazgi: pudełeczko aluminiowe z kawałkami biszkopta, nasyconemi lekarstwem, ołówek, zegarek. W portfelu było dwadzieścia złotych, trochę drobnych, i kilkadziesiąt rubli, pozostałych z czasów inflacji, które widocznie ojciec z pietyzmem przechowywał. Adela śmiała się, że miał tak mało pieniędzy. Były też inne rzeczy: fotografie Adeli, dawne i nowe, jedna taka, na której była małym dzieckiem, której nawet nigdy nie widziała. Był także jakiś list Adeli, pisany do ojca z Nicei, list specjalnie czuły i pełen tęsknoty, który widocznie było mu przyjemnie nosić przy sobie i czasem odczytywać.

— Umarł na moich rękach — powiedziała Rozalja — podczas lekcji. Uczenica się tak przeraziła, że sama mało nie zemdląła, tylko potem zaczęła krzyczeć na ratunek i ja z kuchni przybiegłam. Odrazu pochylił się, żeby jej coś pokazać w kajecie i przewrócił się. Upadł jak stał, i to tak, że nogi zasunęły mu się głęboko pod fortepian. W domu nie było nikogo, bo nawet matka wyszła do sklepiku naprzeciwko po ciastko. Uczenice zaczęły krzyczeć, wbiegła Rozalja, uklękła przy nim, wzięła jego głowę na kolana, i nawet jeszcze oczy otworzył, ale już nikogo nie poznał, ani słowa nie przemówił, westchnął tylko i już nie żył.

Więc nawet nic nie powiedział. Więc ostatnie słowa, jakie Adelia od niego usłyszała, to były te, którymi prosił o przysmażenie na wieczór leniwych pierogów. Żył, myślał, cierpiał, a potem tylko takie głupstwo i już umarł.

— Chwała Panu Najwyższemu, że się przynajmniej nie męczył — mówiła Rozalja — ale nawet księdza nie zdążyłam sprowadzić.

— To dobrze — na to Adelia — dziękuję Rozalji.

Tak więc wszystko było wreszcie załatwione i wszystkiego można się było z czasem dowiedzieć.

— Jak ojciec wróci... — mówiła matka.

W pokoju stołowym był duży, wiszący zegar, ten właśnie zegar, który ojciec kupił zaraz po ślubie. Zegar był niemodny, dębowy, miał po sobie jakiś secesyjny desenik, który się już potem nikomu nie podobał, ale pokazywał doskonale godziny i nigdy jeszcze nie był w naprawie. Nakręcało się go co dwa tygodnie, i tej właśnie pierwszej soboty Adelia weszła na krzesło, żeby go nakręcić.

— Daj spokój zegarowi — powiedziała matka — ojciec niedawno go nakręcał.

Było w tem coś przerażającego, że jeszcze zeszłej soboty ręce ojca, te miękkie, małe ręce z krótkimi palcami, dotykały się zegara. Adela rozumiała doskonale, że dla matki ten właśnie skręt, czy kierunek, który ojciec nadał zegarowi, był czemś drogiem, co chciałaby, żeby trwało wiecznie, a przynajmniej póty, póki ona żyła, czy też póki on nie wróci, żeby go nakręcić raz jeszcze. Mimo to nastawiła zegar, pojmując, że regulowanie wszystkich rzeczy to będzie teraz jej funkcja w tym domu.

Tej nocy Adela miała prześliczny sen. Śniło jej się, że była z ojcem razem w Nicei, czy może innej miejscowości Francji i mieszkała z nim razem ciągle w jakiejś małej chałupce, tak małej, że pod słomianą strzechą miała tylko jeden pokój i niziutkie okienko, na którym można było siedzieć, dotykając nogami ziemi. Ojciec chciał kupić przewodnik i pytał się przez okno chłopki:

— Ile kosztuje ten guide? — bo zawsze lubił wszystko zwiedzać z przewodnikiem.

A tamta kobietka potrzasała piękną głową, ubraną w antyczny czepeczek ze stylowego brokatu, i odpowiadała, wdzięcznie się śmiejąc:

— Nie, panie, nic z tego nie będzie, ani centima mniej niż dwadzieścia franków.

— To za drogo — powiedział ojciec, i potem poszedł z Adelcią do kasyna, gdzie Adelia flirtowała z jakimś panem, a ojciec, siedząc przy tym samym stole, z uśmiechem im się przyglądał. Wszystko, w przeciwnieństwie do koszmarów, jakie Adelia przeżywała na jawie, było łagodne, miłe i wcale nie definitywne, nic ostatecznego nie było w tym flircie, ani w kupnie przewodnika. Łąka była świeża i zielona, powietrze

było słodkie, jak czekolada mleczna.

Jednak nie można się było nie obudzić. Obecność ojca narzucała się i na jawie. Jego głos, a głównie jego intonacje słyszało się przy każdej okazji. Nie można było wzięć do ręki nowel Zoszczenki, żeby zaraz nie wpaść na zdanie, które ojciec odczytywał głośno, żeby zabawić rodzinę, o ojcu starym rewolucjoniście, albo o butach. Ostatnio ojciec czytywał dużo książek o nowej Rosji i bardzo go to interesowało, nawet takie, które nic nie były warte. Teraz słyszało się jego głos, którym wymawiał rozmaite najprostsze słowa, a nawet, zanim się weszło do pokoju, można było myśleć, że właśnie siedzi w swoim pokoju przed lustrem i goli się. Trzeba było koniecznie wejść i zajrzeć za firankę, żeby się przekonać, że go niema.

— Tatusiu! — chciało się zawołać, wchodząc do mieszkania, i to było może ze wszystkiego najgorsze: rozumowa pewność, że jego już niema i zwierzęce, bezsensowne przyzwyczajenie do jego ciągłej obecności.

— Chodź ze mną na cmentarz — powiedziała matka — trzeba go pilnować.

Ale Adela nie miała wcale ochoty chodzić na cmentarz. Tam go przecież nie było, był raczej jeszcze ciągle w mieszkaniu. Cmentarz był miejscem obcym, niemiłym, stał się nim teraz, odkąd on tam leżał. Dawniej, kiedy Adela była dzieckiem, czytywała książki, w których matka prowadziła dzieci na grób dziadusia, i zazdrościła tym dzieciom, że u nich tak było wszystko comme il faut, i dziaduś na cmentarzu, i matka, która do niego prowadzi. Jej dziadek leżał na cmentarzu samobójców, a matka nie istniała, wbrew twierdzeniu, że mater semper certa est. Teraz nareszcie był ktoś własny na cmentarzu, ale to przecież miało być nie tak.

— Dlaczegoż to właściwie ja nie umarłam? — zapytywała siebie Adela — ojcu napewno byłoby przyjemniej żyć, niż mnie.

Było to dziwne i nieznanne dotąd pragnienie oddać za kogoś krew i życie. Okazywało się jednak, że nawet takie pragnienie nie bywa przyjęte, że i to w pewnych wypadkach nie pomaga. Było to dziwne, niepojęte, nie do rozumienia: całkowita bezsilność. Wola nie mogła nic nawet wtedy, kiedy aż do złamania była naprężona. Cóż znaczyły wszystkie inne chcenia wobec tego teraz, żeby ożył.

Potem trzeba się było zabrać do przerzucenia rzeczy ojca, do pozbycia się wszystkiego, co już teraz było niepotrzebne. Adela wyrzucała

te graty prawie ze złością. Ojciec przechowywał naprzykład kwity mieszkaniowe, albo za gaz czy za elektryczność całymi latami. Poukładane porządnie w koperty, na których napisane były daty, leżały te wszystkie świstki, komu tam do czego naprawdę potrzebne? Kiedy się je wyrzuciło, niewiele rzeczy zostało. Adela przeglądała listy ojca z palącą ciekawością, gorzką, jak takie zielone liście, które się rozgryza w polu i potem niewiadomo, gdzie splunąć z obrzydliwości. Szukała jakichś śladów miłosnego życia, jakichś listów do kobiet, może fotografii. Nie mógł przecież żyć, jak anachoreta, coś się tam chyba pętało podejrzanego. Mówił jej przecież kiedyś, kiedy jeszcze rozmawiali szczerze, że i jemu czasem jest trudno nad sobą zapanować, że i jego nawiedzają pokusy. Tak to nawet poetycznie wyraził. Więc gdzie były ślady, jakiegokolwiek ślady?

Adela przerzucała listy do przyjaciół i kilka listów od kobiet, które wszystkie zaczynały się: Szanowny i drogi panie Janie! i wewnątrz, prócz czulego dopytywania się o zdrowie, albo o córkę — nic, nic, nic. Ale zato znowu tu w biurku, jak w portfelu, jak wszędzie, fotografie Adelci, listy od Adelci, jej wypracowania szkolne, własnoręcznie przez nią malowane „laurki“ imienninowe, niezdarnie klecone wierszyki, cenzurki przejęcia z klasy do klasy, dzienniki ze stopniami tygodniowymi. Przypominał się i panoszył dawno zapomniany i wspomniany niemile czas okrutnych dni szkolnych, srogie i nielubiane damy klasowe, niesympatyczne koleżanki. A tutaj to wszystko było komus drogie, droższe nad wszystko w świecie, temat rozmyślań, czy marzeń, dotykane z rozczuleniem karteczki.

Więc tak wygląda miłość! Dlaczego nie było nic wiadomo przedtem? Czyżby naprawdę ojciec ją kochał i nigdy się przed nią do tego nie przyznawał z obawy, żeby nie zostać wyśmianym? Czyż naprawdę odrzucałaby tak zawsze wszystkie objawy jego czułości?

Adela najpierw płakała, a wreszcie śmiała się z tego wszystkiego. Cóż innego można było wymyślić? Potem zrobiła pakiet ze swoich szkolnych kajetów, z malowanych dla ojca laurek (jakże niedołącznie) i pisanych wierszyków, gdzie był naprzykład taki zwrot „niechaj złe wszystko, co napotkasz w życiu, to dobre się zmienia!“ — i rzuciła to w piec. Potem poszła po zapalki, pod czerwonym okiem milczącej Rozalji, i podpaliła. Nie bardzo prędko się paliło.

Nikomemu już to wszystko nie będzie potrzebne, zdecydowała Adelia, choć nie chciała dochodzić po-

wodów swojej decyzji. To, co płynęło pod spodem, było jej tymczasem obojętne. Z pasją darła kartki, i myślała o tem, że przecież to wszystko, co człowiek robi, nie ma naprawdę żadnej wartości, kiedy potem przychodzi drugi człowiek i w pół godziny niszczy to, co tamten przez całe życie wytrwale pielęgnował. Ostatecznie to biurko, to był rezultat pracy myślowej ojca, niejako esencja jego trudów, jego codzienności. Złana i klarowna, nie była ta esencja nic warta: ot, trochę wody. Każdy cierpliwie przeczytany, czy napisany, czy wygładzony palcami, czy może nawet wycalowany paperek był wart tylko tego, żeby go wrzucić do pieca. Jest się poco trudzić!

A to, co dotyczyło jej... Już niema osoby na świecie, którąby to interesowało. Ta część jej istoty umarła jeszcze za jej życia. I nikt już przecież do niej nie powie: „jaką ty masz dziecinną buzię“. Już się to nawet nikomu nie będzie wydawało.

Dnie mijały za dniami, i śmierć ojca stawała się coraz bardziej istniejąca, niejako utwierdziła się i ustanawiała. Karolina chodziła z Adelcią na spacer i zdaje się, że towarzystwo jej było jeszcze Adelci najmiłsze. Ale Karolina miała przecież swoje sprawy, o których dyskretnie milczała, ale o których wreszcie mówiła coraz więcej.

— Jakże będzie z naszymi koncertami? — powiedziała kiedyś.

Było to w Łazienkach, drzewa już stały zupełnie zielone, na rabatach kwitły bratki, na małym placu, między drzewami, kwitły duże niezapominajki w trawie, tak sobie, bez żadnej wody, ale ich liście były bardzo włochate, a kwiaty mięsiste i mocno niebieskie, aż twarde, jak kwiaty begonji.

To było przecież ładnie, że Karolina chciała „rozrywać“ Adele.

— Nie mogłabym przecież włożyć wieczorowej sukni.

— Nie wiem, dlaczego? Przecież dla śpiewaczki wieczorowa suknia, to tak, jak mundur. Czy myślisz, że żołnierz nie chodzi w mundurze, kiedy jest w żałobie?

— Nie jestem jeszcze taką śpiewaczką, żeby dla mnie sukni wieczorowa miała być mundurem — powiedziała Adelia.

— Jakżeż subtelna — wyśmiewała się Karolina, która już znowu była wesoła, albo starała się nią być, żeby Adelcią pocieszyć — naprawdę, przestań! Co ciebie trzyma w Warszawie? Pojedziemy, zabawimy się, poznamy mnóstwo nowych ludzi, nie można tak ciągle, jak mówi Rozalja, „dulczyć“ nad jednym i tem samym.

Adelia zapatrzyła się w jakąś chmurę, która tak mocno była obie-

lona po brzegach słońcem, że aż oczy bolały.

— Naprawdę nie chce mi się, po prostu nie chce mi się — powiedziała potem.

— Widzisz, kiedy właśnie w tem jest dowcip, że się zawsze nie chce. Żeby się chciało, to już byłoby wszystko dobrze. Trzeba w sobie rozbudzić jakąś chęć, a nie poddawać się niechęci.

— Mówisz, jak z dobrej książki.

Czasem chodził z niemi na spacerzy Andrzej, który także mówił, jak z dobrej książki. I on namawiał Adelcę, żeby wyjechała z koncertami.

— To sprawisz sobie czarną suknię.

A także dyskretnie wspominał o mającym nadejść ślubie, który niepodobna przecież było bez końca odkładać.

— Niech pan da spokój tej sensatce — mówiła ze śmiechem Karolina.

Wtedy rozmawiał z Karoliną, bo cóż miał robić? Zatrzymywali się razem nad jakimś kwiatem, albo koło wybujałego drzewka, które trzeba było przywiązać do palika. To były naturalnie koncepty Karoliny, to przywiązywanie drzewek, nosiła nawet w tym celu ze sobą kawałki rafji. Andrzej nigdyby nie wpadł na ten pomysł, ale był zachwycony. Adelia patrzyła na nich z posępną miłością. Bolało ją to, jak rana, ale i sprawiało jakąś gorzką radość. Tak właśnie ma być! Było przecież oczywiste, że Andrzejowi coraz mocniej podoba się Karolina, ale to przecież nie mogło nikogo dziwić. Szła naumyślnie naprzód, żeby ich zostawić razem. Niech się tam wspólnie zachwycają pelargonjami, które jeszcze przecież nieprędko będą kwitły. Od czasu do czasu Adelia łapała skierowane w swoją stronę niepewne spojrzenia Andrzeja, ale myślała sobie przy tem: „nie bój się, rób, co ci się podoba, ja ci nie przeszkodzę“. Andrzej posunął tak daleko swoją perfidję, że kiedy Karolina ze zwykłym sobie entuzjazmem pobiegła naprzód, żeby złapać za ogon pawia, któremu nie zdążyła na takowy nasypać soli, przysunął się do Adelci i zapytał prędko:

— Co ci jest?

Adelia była oburzona, że śmie się jej pytać, co jej jest, ale zapanowała nad sobą i odpowiedziała oschle, że nic jej nie jest, że jest przecież zupełnie zwyczajna i zachowuje się idem. Odskokzył od niej, jak od pokrzywy. Był pewno zadowolony, że tak się wymigał, bo i niby się nią zainteresował i nie zajęło mu to dużo czasu.

(d. c. n.).

Wanda Melcer.



Morze

(fot. Poddębski)

STANISŁAWA SZNAPER.

MORZE

Ogromny, błękitny bezruchu.
O niebo! Niebo wieczne —
Gorący, kryształowy, suchy.
O piasku, piasku słoneczny!

Nieskończona, kolorowa.
Woda zimna, przezroczysta, słona,
Morze złoto-szafirowe!
O morze liljowo-zielone!

O ciepło mszechobecne!
O miętze ostry, palący!
O hałasie, o jęku westchnień...
O wodo! O niebo! O słońce!

Jak dużo jest srebrnych blasków:
Zieleni, szafiru, rózu —
Jak dużo jest ciepła i piasku —
Jak dużo szczęścia! Jak dużo.

DESZCZ

Wicher się podniósł z morza.
Woda szmerze gnierolirwie.
Woda szarzeje, jak popiół:
Coraz gorzej, coraz gorzej.
Błękit nieba się stropił,
I posirniał.

Woda dygocze, jak wrzątek.
Woda się burzy.
Ruch wielki uderza do brzegów
I ucieka do horyzontu.
Woda parska z nadmiaru gniewu.
Oddechem — kurzem.

Skłębily się woda i niebo.
Rozszalał szary pożar.
Wypuścił zęby, jak grzebień
I zarwył tysiącem potęg.
Aż deszcz lunał od nieba do morza,
I od morza do nieba — zpomrotem.

MEDUZY

Blade soczewki płynne,
Z różowym, lub niebieskim obrębkim.
Śliskie, szklane i zimne,
Przezroczyste, miękkie.

Wyginają się, kurczą, krążą,
Migają miliardem rzęsek...
Materjalne, czyste duchy boże,
Medjalne fluidy bezmięsne.

W tańcu dzimacznym się mijają,
Całe morze muszą przenikać,
Jakby je ktoś narkozą upijał,
Jakby tam... gdzieś... była muzyka.

MEWY

Srebrne miecze! Srebrne miecze
Migają.
Sieką powietrze.
Piasek krają.

Daleko,
Na wodę lecą,
Jak pociski.
Świecą
Oстрыm błyskiem.
W oczy pieką.

I codzien
Na piasku szmargoczą,
Pospiesznie, nerwowo,
Ochoczo,
Jakby miały łodzie
Wynajmować.



Widok na Gdynię

(fot. Poddębski)

Święto morza

Jutro święto morza! Zdyszane pociągi coraz wpadają na dworzec, a wszystko, co żyje, wylega z Gdyni na promenadę nadmorską. Słońce i szafiry. Olbrzymie zakole Bałtyku rozblękitniło się aż po widnokrąg, na którym widnieje ciemniejszy pas: to długi, wyrzucony w morze pas Helu, zapewne najwęższego z półwyspów.

Zresztą, narazie nie obchodzi nas Hel, zwłaszcza że jest do niego kilkanaście kilometrów, gdyż o kilkanaście metrów od nas dzieją się rozmaite dużo ciekawsze rzeczy, przecież dziś, ostatni dzień przed Świętem Morza, na które się ściekają ze wszystkich stron świata tłumy. Gdynia żyje pod znakiem radosnej uroczystości.

Na promenadzie, od jej początków po ostatni etap — Dom Zdrojowy, a jest to chyba ze trzy dobre kilometry; odbywa się wędrówka narodów. Szczególny tłok panuje przy pięknie wyniesionej tarasami kawiarni i przylądzie pasażerskim. Statki, łodzie, motorówki, żaglówki, kutry i kajaki śmigają co chwila od przylądu, rozsypując się, jak mewy po morzu. Mewy, kwiląc, lecą za nimi, rzucają się z rozpaczliwą determinacją na fale, jakgdyby się chciały utopić samobójczą śmiercią i podrywają się znowu ostrym zakosem wzwyż. Co jakiś czas z ciemnym hukiem syreny zawija większy parowiec z Helu, Zopot, Gdańska czy Orłowa. Tłumy strumienia się na pokład, tłumy strumienia się z pokładu. Każdy chce wszystko widzieć i wszędzie być, skoro już przyjechał tu jednym z tysięcy wycieczkowych pociągów świętomorskich, gdzieś z najdalszych, lądowych po wiek wieków od morza oddzielonych zakątków Polski: z pod bolszewickiej granicy i z pod Czech, z pod Rumunii i z pod Niemiec. Wszystko na jutrzejszą uroczystość

ściąga tu, nad morze. Spotykają się znajomi, poznają się nieznani, rodziny oddawna niewidzące się wzajemnie tu sobie naznaczyły spotkanie, wpadają na siebie przygodnie najbliżsi krewni. W powietrzu krzyżują się wykrzykniki i powitania, brzęczące, jak zburzony wyraj pszczół.

— Hallo, jak się macie! Kiedyście przyjechali? Czy na długo?

— Dziś rano! Wczoraj wieczór! Autobusem z Poznania! Autem z Kielc! Statkiem!

— A my siedzimy już od tygodnia! Ja się już nauczyłem pływać! Cudownie!

— O piątej na dancingu w Rivierze! Pamiętaj, nie spóźnij się.

— Panie drogi, co oni tu zrobili z tym portem. Machiny, panie dobrodzieju, wywrotnice, dźwigi, historje! Wiedziałeś pan, że to wszystko jest wykopane w ziemi? Wyjmują, panie, torf, a na to miejsce puszcza wodę — i robią baseny portowe. No, no!

— A widziałem, bośmy zaraz po przybyciu pojechali motorówką specjalnie zwiedzać port. Nam teraz nawet cudzoziemcy się dziwują, że to, powiadają, czegoś takiego jeszcze nie było, żeby w pięć lat wybudować na piasku port i miasto. Teraz my górą!

— Ale niby kto to: my? He?

— My, to my. Niby pan i ja. Polska!

— Pan i ja? Niby my?! Panie drogi! Żeby tak Bogiem a prawdą, to dużośmy się do tej Gdyni w naszym Ryczywole nie przyłożyli. Inni za nas pracowali.

— Ale myśmy podatki płacili, niby pan i ja? Tak? No, tośmy także po swojemu budowali. A zresztą, tak czy owak, niech jej da Bóg jak najlepiej, niby Gdyni. I widziałeś pan? Jezdnie, chodniki, kwietni-

ki, zieleńce. Jeszcze zeszłego roku tu były same piaski, że ani przebrnąć! A dziś, popatrz, popatrz!

— Hallo, hallo, uwaga, uwaga... — deklamuje basem megafon na skrzyżowaniu promenady z przylądem pasażerskim. — Stąd za chwilę odejdzie motorówka do zwiedzania portu. Wobec napływu publiczności prosimy o ustalanie kolejek. Hallo, hallo, uwaga!

Wezwanie to jest tak imperatywne i rozgłośnie, że oprzeć mu się niesposób. Za chwilę siedzimy w motorówce, wypchanej jak makówka głowami i jedziemy oglądać port.

Jak kalejdoskop, wybrzeże widziane z morza, rozwija przed lądowym przybyszem oszalamiające odmiany swoich barw. Mijamy przyląd pasażerski z tłumem wiszących na nim ludzi, kawiarnię, która słodko pieje od samego rana tenorem gramofonu, szeregi ławek, na których mienia się stroje krakowskie, łowickie, śląskie: to wycieczki ludowe czekają swojej kolei, zachłannie się przyglądając przez ten czas morskemu życiu. Mijamy zacisznie przytulony w załomie falochronu, tworzącym spokojną zatokę, gdyński Yacht - Klub. Kilkadziesiąt lekkich, wykwintnych jachtów kołysze się leciutko na fali: wypoczywają po niedawnych wyczynach lub szykują się do nowych. Niejeden już przyczynił sławy swemu klubowi śmiałą wyprawą, bohaterską walką z Bałtykiem, który miewa swoje złe chwile, sportową klasą wyścigu. To dżentelmeński salon portu, któremu już wolno przebierać w swoich gościach.

Ale wystarczy okrażyć falochron, i oczom ukazuje się barwna, krzykliwa, roztrzepotana skrzydłami żerujących na resztki połowu mew i żaglami kutrów. Demokratyczna zatoka, w której żyje i działa Gdynia rybacka: jarmark rybny z jego chłodniami, halami, lagami śledziowemi i wszelakim sprzętem do połowów przynależnym. To port rybacki, gdzie się skupia targowa część życia małomorskiego, jego podręczna, by tak rzec, ekspozytura. Wzdłuż pomostu stoją uszeregowane kutry rybackie, motorówki

żaglowe, ponumerowane tajemniczymi znakami, w których się nie wyznaje narazie szczer ładowy:

— GDY 12.

— BÓR 27.

Znaczy to, że łódź pochodzi z Gdyni, czy Jastarni-Boru, że jest tubylcem albo gościem. Szeregi kutrów zawijają z morza do portu, pełne trzepocących się jeszcze sieci, ładownych srebrnym połowem koszy, iskrzących się rybią łuską pokładów. Drewniane kaszty są momentalnie napelniane drgającą masą śledzi, szprotów czy innych ryb zależnie od sezonu, wynoszone do chłodni, czy do hal, gdzie czekają nabywcy, wypróżniane, podstawiane, znów napelniane... Krzyk, gwar i charakterystyczne, kaszubskie akcentowanie słów o braku zmiękczeń unosi się w powietrzu, brzęcząc liczbami wag czy cen:

— „Pedzesąt“.

— „Dwadzesca pęc“.

Cumownicy, wartujący na pomoście, raz po raz wprawnie chwytają rzucane im z kutrów liny, aby je umocować do słupków. Kobiety kaszubskie w wysokich butach, tonących w srebrnej masie połowu, pochylają się i prostują, sortując ryby, napelniając kaszty, przyglądając się tłumowi, zanim można je będzie napelnąć znowu. Tu przecież jest rodzaj fivo-o'clocku wszystkich nadmorskich kolonij rybackich z całego wybrzeża: tu zawija ze swym połowem Hel i Jastarnia, Bór i Kuźnica, Orłowo i Gdańsk...

W głębi, na lądzie, widać porozwieszane na piasku sieci. Za sieciami, daleko stoi na straży swego dobytku Urząd Rybacki. Pięknie wyczyszczony, smukły kuter doświadczalny urzędu, o kuszącym imieniu: „Ewa“, kołysze się na czele swojej rybackiej dziatwy. Ma czego zresztą pilnować: pomiędzy tłumem kupującej, sprzedającej i zaferowanej rybackiej braci uwija się cały szereg portowych łazęgów, bystro uważających, co, gdzie i u kogo można naby nieznacznie zapożyczyć na wieczne oddanie. Każdy musi jakoś żyć. A w porcie i jego tajemniczych zakamarkach jest dość pola na to, aby się przyczaić, czekając na okoliczności sprzyjające. Policja



Po połowie

(fot. Poddębski)

o tem wie i co jakiś czas urządzi obławę, niezawsze kończące się towarzyskim porozumieniem.

— Po jednej takiej nocy z obławą mieliśmy właśnie jechać wcześniej rano na morze, na badanie połowu — nadmieniał kiedyś w tej sprawie jeden z kierowników. — I nagle, cały pokład poplamiony krwią, a przy burcie cała zatoka. Łatwiej rozgryźć kamień, niż wydobyć z Kaszuba coś, czego nie chce powiedzieć, a o tych sprawach mówić nie chcą, choć niejedno wiedzą. Może boją się zemsty, może co innego dość, że milczą, jak ich ryby.

Ale nasz szypcer się jakoś wywiadał. Okazuje się: policja ścigała takiego, który strzelał, i w strzelaninie sam został ranny. Dał nura do wody i przyczaił się za barkami, a kiedy obława odeszła, wydołował się na nasz kuter, bo był najbliższy, i tu na pokładzie wylizal się z ran. I najlepsze, że nic mu nie było: wyżył. Ale port rybacki bynajmniej nie jest tak idyllicznym zakątkiem, jak się z zewnątrz narazie zdawać może. Niedawno jakiś duński kupiec zabił na śmierć po pijanemu swego przyjaciela Polaka. Odpowiadał przed sądem gdyńskim. Kiedyindziej poturbowali nasi majtkowie jakiegoś Japończyka, bo płacił dolarami i odbił im wszystkie dziewczęta. Port.

Właściwy port jednak jeszcze się nie zaczął. Jeszcze mijamy stocznnię gdyńską z jej pływającym dokiem, gdzie się naprawia uszkodzone statki, jeszcze wychodzimy na morze i dopiero z redy, na której czekają okręty, przybywające do Gdyni ze świata, wchodzimy wąskim przesmykiem między falochronami do właściwego portu.

Na podwyższeniu w środku motorówki delegat Ligi Morskiej przez megafon objaśnia nam rzeczy widziane. Mało jest widzieć: trzeba rozumieć, na co się mianowicie patrzy. A tego z nas, przybyszów, nie zdoła nikt. To też słuchamy, skupiając się dokoła megafonu, nie tylko fachowych, ale pełnych entuzjazmu, komentarzy naszego speaker^{*)}.

— Z dwu stron widzą państwo latarnie morskie. Tu również strzelają w niebo wieżycy portowe telegrafu iskrowego. Odkryjmy głowy: tu jest brama do Polski. I bronić jej będziemy do ostatniego tchu. Do zwycięstwa.

— Będziemy. Wiwat. Niech żyje — rozlega się chór mieszanych głosów. Zwłaszcza jakaś szkolna wycieczka demonstruje, wyrzucając w górę czapki. Oczy im błyszczą, a usta polykają słowa megafonu. Tak. Będą bronili z pewnością.

W awanporcie rzuca się w oczy wielka przedewszystkiem przejrzystość urządzeń portowych oraz ich dostępność dla najmniej zorientowanego przybysza. Jest to wielka zaleta Gdyni.

— Król naszego eksportu, węgiel. Basen nosi nazwę węglowego. Olbrzymie wywrotnice chwytają wagon, pełen ładunku, jak dziecianną zabawkę i wywracają dnem do góry. Przeładunek odbywa się w ciągu czterech minut. Wielki statek może być załadowany dziś przez te urządzenia w ciągu pięciu godzin, podczas gdy dawniej trwało to kilka dni, zwiększając niezmiernie koszty postojów. Właśnie kilka parowców ładuje w pośpiechu węgiel. Tempo tych prac, możliwe dzięki taśmowym urządzeniom, nowoczesnym dźwigom i wywrotowcom, budzi zazdrość w szeregu najstarszych, doskonale urządzonych portów. Jest to ostatnie słowo techniki i sprawności, chluba Gdyni.

Dalej basen Marszałka Piłsudskiego. Stoi w nim nasz żaglowiec szkolny, przeznaczony dla marynarki handlowej „Dar Pomorza”. Daleko na wybrzeżu możnaby dostrzec wspaniałą nowoczesną gmach Szkoły Morskiej Handlowej, której uczniowie ćwiczą się właśnie na tym statku. Dalej wielkie dwukominowce. Jeden stoi ubrany flagami w pełnej gali, to dwa z naszych statków transatlantyckich.

*) Podług opisu pana K. Warchałowskiego w „Morzu”.



Motyw z wybrzeża

(fot. Poddębski)



Przystań łódek żaglowych

(fot. Poddębski)

„Kościuszkó“ i „Polonia“. Na przednim maszcie „Polonji“ powiewa niebieska flaga, sygnał odjazdu. Pokładem swoim połączy Bałtyk polski z morzem Czarnem. Pokład statku, to dalszy ciąg ziemi: pod narodową banderą nie traci on związku z krajem ojczystym. W ten sposób realizujemy na innych tylko podstawach odwieczne hasło nasze: — „Polska od morza do morza“.

— Wiwat... Wiwat... — wołają mundurki, a i poniektóry pasażer doletni też. Ileż radości, ile dumy i zachwytu w tym przeglądzie zdobyczy naszych na lądzie i morzu, trudnego i powolnego odzyskiwania utraconych niegdyś mórz i ziemi.

Mijamy obecnie cały szereg potężnych składów portowych, rządowych i prywatnych: Cukroport, Monopol Tytoniowy, zbiorniki melasy, łuszczarnię ryżu, wspaniałą olejarnię, całe miasto składnic i hal. W basenie min. Kwiatkowskiego, wielkiego budowniczego portu w Gdyni, zwraca uwagę okalająca go potężna siatka na żelaznych słupach: to strefa wolnocłowa, gdzie najdroższe importowane towary są tak samo tanie, jak w ich ojczyźnie, zanim z niej wyjdą. To też, aby nie wyszły przedwcześnie przez płot, cały teren ogrodzony jest siatką, jakiej pozazdrościłyby najprzedniejsze menażetki dla swoich lwów i tygrysów. Roboty tu są w pełnym toku, prowadzone z rozmachem i nakładem, zadającym kłam depresji kryzysowej. W Gdyni kryzys spotkał odważnych i zdecydowanych przeciwników, którzy nie mają zamiaru przed nim ustępować. Bije to w oczy i wbrew pesymistom, napawa każdego wiarą w lepsze czasy. Jednym z najwspanialszych gmachów portu będzie Dworzec Morski, gdzie wprost z pokładu pasażerowie będą mogli wsiąść w pociągi na wszystkie strony świata... A tam oto widzą państwo... Ale cokolwiek słyszymy, myślimy wszyscy jedno, że to wszystko powstało z piasku i pustki w niecałe dziesięć lat.

Nie wszyscy słuchają wykładu urzędowego, woła własne wrażenia. Na rufie część towarzystwa cieka-

wie otoczyła wąsatego jegomościa w szaraczkowym garniturze, z wielką lśniącą blaszanką od mleka, którą grzmi o ławki, gestykułując.

— Tylko przez tę, Bóg jej za to zapłać, naszą kasę... Gdyby nie ona, aniby na to kiedy przyszło, żeby pojechać nad morze — odpowiada z mimiką. — Ale ja, panie, Poleszuk, jestem uparty. Jakiem powiedział do żony jeszcze w dwudziestym drugim roku: — Nie umrę, serce, Marcysiu, aż na te własne oczy polskie morze zobacze: — tak i jadę. No, żona wtedy tylko głową pokiwała, wiadomo, ciężko. Grosz grosza nie dogoni, a tu niby morze. Tak, że jeśli jadę, to głównie przez naszego, Boże jemu zapłać, kasjera od Pocztovej Kasy. Bo grałem z nim i z proboszczem w preferka, jak to na prowincji. — Złotówka do złotówki, powiada, bo my nawet specjalne takie mamy, powiada, w P. K. O. książeczki, a w kilka lat sobie nieznacznie sąsiad dobrodziej siaką - taką sumkę na wyjazd i odłożysz. I tak też się, panie dobrodziej, za jego poradą zrobiło. Co jaka złotowczyzna się zapłata — dawaj ją tu sam. I do kasy, i do kasy. Aż zeszłego roku, jak co do czego przyszło, to kasjer do mnie powiada: — A wiesz, powiada, sąsiad, ile się już tego uciułało? Siedemdziesiąt, powiada, złociszonów, i nawet z ogonkiem. Bo to ni razu nie ruszone, a jeszcze i procent narasta. Więc jak zaczęły pisać kurjerki, że niby wszyscy nad morze na święto morza, i że ulgi rozmaite też są — powiedziałem sobie: — Basta: Jadę. Pożegnałem się z magnifiką, bo to taki tłok nie dla jej, z przeproszeniem, korpulencji, z kasy wybrałem sto złociszów na drogę, i jadę. A blaszankę to wzięłem ze sobą więcej przez serce, choć to po prawdzie trochę i kram.

— Pewnie kawunia jeszcze przez panią dobrodziejkę na Polesiu nagotowana? — wtrąca, nie bez żadelka, któryś ze studentów.

Szaraczkowy jegomość z oburzeniem kiwa ręką.

— Wolne żarty, młody człowieku, wolne, panie dobrodziej, żarty. A i nie pięknie, powiedzieć po

prawdzie, żartować ze starszego człowieka. Wziąłem ją nie dla siebie, tylko dla tych, którzy sami pojechać nie mogli: na wodę z polskiego morza. Bo daleko do nas ze świata, co tu mówić. Polesie. Wieś Teleżuki u nas się nazywa. No to w tych, panie dobrodziej, poleskich Teleżukach niejedyn urodzi się i umrze, a morza polskiego nie zobaczy. To czyż ta woda, panie dobrodziej, nie będzie dla niektórych święta?

Będzie święta. Szaraczkowy pan uchwycił wielką prawdę, którą nie każdy z nas umiał zamknąć w blaszance, ale każdy czuje w sercu. Niefortunny akademik chowa się za czyjeś plecy, jacyś panowie ściskają ręce Teleżuckiego pioniera, którego blaszanka, w poczuciu swego zwycięstwa, triumfalnie grzmi. Na prawo i na lewo migają przed nami wciąż dźwigi, budynki, bloki, baseny. Wreszcie wypływamy znowu przez strażnicze latarnie i kierujemy się zpowrotem. Teraz jesteśmy zwróceniem frontem do Gdyni i możemy obejrzeć z morza jej wspaniałą łuk, rzucony na ciemne tło wzgórz i lasów nad morzem. Dwaj fachowcy obok omawiają sprawę prawidłowej, czy nieprawidłowej jej rozbudowy.

— Może nie jest budowana tak, jak należałoby przepisowo, może posiada dużo błędów, ale proszę

wziąć pod uwagę szalone tempo, w jakim ją budowano. Przecież za wojny, nawet jeszcze długo po wojnie była tu zwykła mała osada rybacka. Teraz liczymy ją na czterdzieści tysięcy mieszkańców, budujemy na sto, a da Bóg narodzi się i procent, niech tylko kryzys trochę popołguje. Nie mówię o porcie, który jest naprawdę cudownym dzieckiem morskiem, ale i miasto. To są gmachy, to jest rozmach. Gdynia to rekord naszego wysiłku w ciągu krótkich kilku lat. Wiele jest jeszcze niedociągnięć, prawda, wiele planów nie uzgodniono w pośpiechu należycie, ale niechno mi kto pokaże gdzieindziej taką Gdynię?

Patrzmy wraz z tym, który mówi, na zbliżające się zarysy miasta. Nie. Nikt nie pokaże drugiej takiej Gdyni. Jest jedna, jest jedyna. Jest nie do podrobienia. Wybuchła z piersi narodu, jak wielki krzyk radości z odzyskanego szansem polskości burztynowego brzegu. A szerokie moło legło od ładu ku morzu, jak pomost, przerzucony do świata, szumiąc banderą ze szczytu masztu ku wszystkim, którzy się do tego brzegu zbliżają:

— Baczość! Tu buduje się Polska!

M. H. Szpyrkówna.

Plaża (humoreska)

I

Rok 1884.

Kamilka idzie się kąpać w towarzystwie dame de compagnie.

Ma na sobie ranne ubranie z niebieskiego kaszmiru, które zwraca ogólną uwagę. I tego księcia, który

nosi falującą blond brodę! I tego Włocha, który jej róże rzuca pod nogi! I tego Francuza z zabójczym wąsikiem...

Kamilka tych panów zna dobrze z widzenia, chociaż zawsze ma skromnie spuszczone oczy. Jutro, na

reunionie w kurhauzie, zapewne ich wszystkich pozna, ale narazie dziś? Dzisiaj ich nawet zauważyć nie ma prawa! Jutro, na reunionie, zapewne pokaże im odkryte ramiona i piersi (podniesione wysoko przez gorset). Ale dziś?... Dzisiaj te ramiona osłania zapiętą suknią i kołnierzykiem. Jutro, na reunionie, zapewne pozwoli się objąć w pół w walcu i zajrzeć sobie w oczy w kontredansie, ale dziś? Dzisiaj nawet spojrzeć na nich nie ma prawa, bo to są panowie jeszcze... nie przedstawieni!

Kamilka ze swą dame de compagnie kupuje bilet kąpielowy i za chwilę będzie się rozbiierać w ciasnej kabinie Nr. 45.

Oto ginie obserwującym ją lowelasom z przed oczu niedostępna i upragniona! Już tylko zdążyła widać jej różowy parasolik, jej udrapowaną turnjurę, jej tren, wlokący się po drewnianym pomoście.

Kamilka się rozbiiera.

Zrzuca z głowy ubranko z koronek i wstążek i chowa pod wielkim, nabufowanym, ceratowym czepkiem koafjurę, poprzipinaną grzebykami i zdobną w szylkretowe szpilki. Oto rozpiną piętnaście haftek, dwadzieścia pięć guzików, rozwiązuje pięć tasiemek, zdejmując obrożę turnjuri, zsuwa trzy halki, zrzuca gorset i wreszcie rozsznurowuje wysokie buciki.

Jej kostjum kąpielowy jest różowy w czerwony rzucik, przemarszczony i nafałdowany. Maskuje on kontury ciała i osłania dziewczę aż do połowy łydki. Gdyby który z



Higjena i wygoda, oto hasło dzisiejszej plaży.

„epuzerów“ zakradł się do damskich kąpiei i przez szparę w deskach zajrzał, nie zobaczyłby nic, coby widzieć chciał! O to właśnie chodzi.

Siostra Kamilki, Amelja, siedzi na piasku nadmorskim z bratową, boną, synkiem Józkiem, córeczką Jancią i siostrzenicą Irenką.

Rozsiadły się te damy na pledach, by nie zabrudzić toalet, pełnych riusz i falban. Wielkie turnjury spoczywają godnie u ich wygorsetowanych boków. Kapelusze, ubrane kwiatami, chronią od słońca ich twarze, a rękawiczki chronią od słońca ich ręce! Bo przecież opalenizna jest ordynarna!

Amelcia czyta głośno książkę, a jej bratowa haftuje krzyżkami serwetkę. Ale niedługo to trwa, „bo dzieci... Jancia za-



Na skalistym wybrzeżu.

Uśmiech słońca.



walala świeżo włożoną sukienkę z woalu i rozerwała szarfę! Józka grzeją loki, więc piszczy! A Irenka? Irenka płacze, bo jej zdjęto pierwszy raz pantofelki i rozpalony piasek piecze jej delikatne stopy i różowe piętki! Oto do czego doprowadza ordynarna moda chodzenia na bosaka! Amelcia się oburza! rzecież dawniej tylko folwarczne dzieci tak chodzili, tak sobie deformując nogi!

Kamilcia kąpie się z przyjaciółką i z dame de compagnie. Podskakuje wysoko i przykuca! Podskakuje i przykuca! Rozgarnia wodę rękami i znów podskakuje i przykuca!

Starsza siostra ostrzegawczo wola z brzegu, aby za sznur nie wychodziła, bo może przecież utonąć!

Bratowa i Amelka za chwilę też pójdą się kąpać. Mężowie tych pań kąpią się o pół kilometra dalej, w męskich kąpielach. Do wspólnych kąpiei, do „familienbadów“ przecież chodzić nie wypada! Tam chodzi jedynie półświatek... No i raz „podobno“ tam poszła wykąpać się Feliksowa! Ale czy to prawda? Nie wiadomo i lepiej na Feliksową tak ciężkiego oszczerstwa nie rzucać!

Teraz kąpią się już wszystkie pa-

nie razem! I Amelcia! I Kamilcia! I bratowa! I dame de compagnie! I hrabina W.! I babcia! I przyjaciółka Cesi!

Podskakują i przysiadają! Podskakują i przysiadają!

Amelka myje mydłem plecy Kamilki, a bona szoruje namydloną gąbką plecy płaczącego Józka.

Za chwilę zacznie się w łazienkach obcieranie! Ubieranie! Fryzowanie! Zapinanie! Potrwa to długo, może godzinę, albo i dwie!

Przez ten czas badenierki rozwieszają będą na wietrze kostjomy czerwone, zielone, niebieskie, w paski, prążki i kratki. Na wietrze kostjomy te wydymać się będą, u-wypuklać i drażnić wyobraźnię lowelasów.

Tego księcia z falującą brodą, tego Włocha w popielatym cylindrze i tego Francuza z zabójczym wąsikiem...

II Rok 1934.

Krysia idzie na plażę w piżamie. Z nią razem idzie Hala i dwóch kolegów z uniwerku. Klasa!

Na piasku Krysia jednym ru-

chem zrzuci piżamę i grzać się będzie na słońcu. Oczywiście, niema głupich tracić oczy, więc nałoży na nos czarne okulary! Oczywiście, niema głupich przepalać skórę, więc wysmaruje się cała oliwą!

Jurek i Tadek (obaj z medycyny) oraz Kazik z W. S. H. odwrócą się do Krysi tyłem, bez ceremonji. Tak im wygodniej. I basta!

Potem pójdą wszyscy razem kąpać się. Pływać, rywalizować w tem pływaniu między sobą. Pójdą się uczyć pływać takim, czy innym sposobem. Będą używać terminów fachowych! Będą się ze sobą o te terminy i systemy spierać!

Potem pojedą kajakiem, lub żaglówką, pobawią się piłką, zakopią się w piasek, zatańczą w mokrych kostjumach.

Krysia robi „szpagat“ na sypkim piasku plaży.

Potem wyganie się w „mostek“ Czy zaimponuje tem Kazikowi z W. S. H.? Nie. — Ten warjat twierdzi, że Halamka to robi o wiele lepiej!

Siostra Krysi jest mężatką (już drugi raz). Przyjechała nad morze wcześniej i jest o wiele więcej opalona — poprostu murzynka z włosami blonde-platine! Oh! ta ma powo-

dzenie! Ale co to dziwnego! Jak kto o niczem innym nie myśli w życiu tylko o fatalaszkach? (ta jej suknia plażowa kosztowała 75 złotych!).

Dzieci ze sobą nad morze nie zabrala siostra Krysi. Pojechały z babcią do Ciechocinka. Tak jest i wygodniej i swobodniej! Można iść na dancing i późno z niego wrócić! Można wyjechać na dwudniową wycieczkę! Można się nie krępować!

III

Rok 1984.

Dafne ogląda stare roczniki „Bluszczu”. Ie z 1884- go roku. Te

turnjury! Te treny! Te figury fin de siècle'u! Ta moda wygorsetowana! W roku 1884-ym widocznie nie umiano korzystać z radości, jaką daje: słońce, powietrze i woda! Dafne ogląda stare roczniki „Bluszczu”. Te z 1934-go roku.

Te czarne twarze! Te wygolone brwi! Te obcięte włosy! Te okulary! Te majtki! Te ciała opalone do połowy, a od połowy białe! W roku 1934-ym widocznie korzystano ze słońca, powietrza i wody nieestetycznie.

Tak myśli Dafne, oglądając stare roczniki „Bluszczu”.

Ona w roku 1984-ym kąpie się inaczej. Kąpie się nago, opleciona

wieńcami róż, płasza po trawie w cieniu drzew i kwiatów i leży na słońcu, okryta przezroczystym „celophanem”, posiadającym własności, chroniące jasną karnację. Mężczyźni jej tak nie widują.

Oni, mężczyźni, kąpią się daleko na skalistym wybrzeżu zdala od kobiet, które po dawnemu są dla nich niedostępne i przez to upragnione!

Dafne, nauczona doświadczeniem prababek, jest na plaży tak estetyczna, jak kobiety Grecji i Rzymu, tak daleka dla mężczyzn, jak kobiety Fin de Siècle'u i tak wysportowana, jak kobiety roku 1934-go.

Janina Wyczałkowska-Surynowa.

Kolorowy mistrz igły

2)

—A jakże! alboż oni są tacy przezorni? podobno konferują już między sobą od kilku dni, ale nam ani słówkiem! Szofer powiedział memu Abdulowi, Abdul — Aji¹⁾, a Aja przybiegła do mnie. To fakt!—

Oczywiście, teraz nie mogło być najmniejszej wątpliwości. Oni zaś byli jak zresztą wszędzie na świecie nierozgarnięci.

Powiedzieć towarzysze życia o uroczystościach pułkowych, tu w Indjach, na dwadzieścia cztery godziny przed zdarzeniem tej wagi ależ to było zupełnie w ich stylu!

— Nie mam co włożyć! absolutnie nie mamy co włożyć na te przyjęcia — skonstatowała pani majorowa.

— Ależ, serce, wróciłaś dopiero z Londynu i Derek mówił, że zapłacił za bagaż... Co innego ja!! — marszerowała po werandzie pani kapitanowa.

— Właśnie. To wszystko już na nic!! — Vogue frunął pod stopy p. przyjaciółki, — głównie te rękawy! Rewolucja w rękawach.

— Jeszcze przed tygodniem były zupełnie modne, no i masz!!—ziewnęła pani Agnieszka.

— Niewiadomo co począć! Nie mogę pojąć, czemu nie ustalą tu wreszcie komunikacji powietrznej z Londynem!

Świeżo przybyła, pożarłszy artykuł o rękawach i innych osobliwościach, zaopiniowała.

— Niema innej rady, musisz sprowadzić dirzee²⁾. A co do komunikacji, podobno i tak w Londynie dowiadują się, co tu się dzieje na drugi dzień!

— Dirzee? Żeby mi pokrajał na strzępy najdroższą materję, zbrudził, poślinił!! Za nic! Za każdym razem, gdy taki drab zjawia się w moim domu, dostaję nerwowej gorączki.

— Więc może sprowadzisz toaletę z Bombaju? Przysłać ci szmatę z

przed kilku lat, a każą zapłacić, jak Patou! Sama sobie nie uszyjesz... Ja właśnie drugą dobę już męcę się z moim dirzee!

— Oo! a mówiłaś, żeś się dowiedziała o tej wizycie dopiero przed godzinką?

— Ależ tak, Sweetheart, wierzaj mi. Lecz miałam jednak jakieś dziwne przeczucia. A teraz przybiegłam, by ci dopomóc. Mój dirzee doradza swego stryjka. Szyje również sumiennie i bierze tylko dwie rupje dziennie. Jutro może być za późno...

— Dlaczego stryjek? gdyby przynajmniej jaki bratanek, zawsze świeższa edycja — wtrąciła znowu swoje trzy grosze pani Agnieszka.

Ale pani majorowa po krótkiej chwili skupienia decydowała się na dirzee. Jak wódz na polu zapasów sypała rozkazami. Tambur odszuka Aję. Gdzie ta kobieta się podziewa zawsze, gdy jest najbardziej potrzebna? Szofer musi być w pogotowiu, pojedzie natychmiast do miasteczka w sprawie nader ważnej. Co? Sahib³⁾ — zabrał ze sobą wóz i szofera? O mój Boże! Niech więc hamal⁴⁾ napompuje rower i czeka. Cztery mile do miasteczka, w godzinę tam i zpowrotem. Aja przyniesie te najświeższe, wieczorowe toalety, które wiszą w czwartej szafie, Tambur — wszystkie, zrozumiano? wszystkie słoje większe i mniejsze. Prędkiej!

Na werandzie zawrzało. Puszczono w ruch drugi wachlarz elektryczny. Kazano przynieść nowe porcje mrożonej kawy. Czarnooka, opasła Aja prezentowała paniom najświeższe kreacje z Bond - street i mlaskała językiem w zachwyce niu.

Tambur wnosił uroczyste potężny galon, zakorkowany hermetycznie, za nim zamiatacz dwa słoje, z których każdy pomieściłby po

kilkanaście funtów konfitur, aż wreszcie ogrodniczek, w czerwonym feziku i niebieskich koralikach na szyi, przyniósł najmniejszy słoiczek i postawił go skromnie pośrodku werandy, wywołując natychmiast zaniepokojenie psa. Bonzo umknął czem prędzej pod kretonowe fałbany kanapy, do salonu. Znal się na takich sprawkach... Były to zapewne znowu jakieś medykamenty spreparowane dla niego. Może niezupełnie przyzwyczajony zachowywał się ostatnimi czasy? Bezpieczniej będzie zejść z oczu i przesiedzieć w ukryciu, zanim o nim zapomną.

Słoje były wypełnione po brzegi i starannie zakorkowane. Niektóre nawet zabezpieczone pergaminowym papierem. Zdawać się mogło, marynaty czy konserwy o barwach i kształtach niespotykanych w Europie.

Były to jednak zapasy, wręcz nie spiżarniane.

Każda przezorna biała niewiasta zabezpieczała w ten sposób swą garderobę, przywożąc z kontynentu całe sklepiki na... „wszelki wypadek”, na kilkuletni pobyt w tym dzikim i bezwzględny na krasę kobiecą kraju.

Przechowywała całe sztuki jedwabiu, koronek i aksamitu; wstążki, rękawiczki i pończochy; tiule, kwiaty i szyfony przed niszczycielskim działaniem klimatu oraz żarłocznością owadów. Dość było, aby zakradły się tylko białe mrówki do jakiegś z szuflad, a para pantofli z krokodylowej skóry mogła być pożarta bez reszty w przeciągu jednej nocy... To fakt.

¹⁾ Ayah (aja) — niańka, służebna na Wschodzie.

²⁾ Dirzee — krawiec p. hindusku

³⁾ Sahib — pan p. h.

⁴⁾ hamal — młodszy lokaj p. h.

Ze słoików wydobyto pajęczę szyfony; jak żywe „pachnące” orchidee, cieniutkie koronki wełniane i aksamity, które z łatwością dałyby się przewlec przez obrączkę.

Dirzee, po którego miał gnać natychmiast hamal, musiał się stawić jutro przed pierwszym śniadaniem z maszyną i wykazać się rzetelnie swym kunsztem.

Ostatecznie szofer pojechał po krawca autem; hamal wyruszył rowerem; aja z własnej, nie przymuszonej woli pojechała do miasteczka śmiesznym wózekkiem swego znajomego, tonga¹⁾, a mały chokra pocwałował perpedes, wysłany pono przez przezornego Tambura.

— Każdy ma swoje prywatne sprawy w miasteczku — pocieszała słodka pani Agnieszka stroskaną przyjaciółkę.

Krawiec stawił się na drugi dzień punktualnie. Niski, ruchliwy człowieczek w turbanie tak potężnych rozmiarów, przyczepione nożyczki i napastrzek stanowiły jego efektowną ozdobę, że pani Agnieszka podejrzewała nie bez słuszności, czy w czeluściach tego cudownego przybrania głowy nie dałoby się zmieścić całej sztuki płótna. Mały, figlarny osiołek o króciutkiej kitce, miał ogona, przytaszczył na swym grzbiecie maszynę do szycia, systemu co najmniej z przed pięćdziesięciu laty.

Synek dirzee, towarzyszył ojcu; również miał przecież iść w jego ślady i zostać kiedyś znakomitym krawcem, tak samo, jak to był uczynił swego czasu dziad i pradziad. Osiołek i malec mieli popasać w ogrodzie Sahibów, przez dzień cały skubiąc trawkę i żując korzenie. Nikomu to zresztą nie zawadzi.

Dirzee po zwykłej formułce przywitania, przykładając dłonie do czoła i wysłuchaniu w języku anglo-hinduskim, pani majorowa była pewna, że rozumie ją doskonale każdy człowiek tutejszy, gdy w dodatku rozkazy swe poparła żywą gestykulacją, zapewnił najsołenniej, że wszystko zrozumiał,



Kolorowy mistrz igły.

wszędzie bywał i „szywał”. Żadnego centymetra, czy wymiaru nie potrzebuje: dość mu spojrzeć na pierwszy lepszy wzór, a jest już w domu.

Ściągnął też natychmiast z osiołka derkę, (służyła mu, jako siodło), trzepnął nią niefrasobliwie, rozłożył na werandzie i przykucnął po swojemu, na chudych jak patyki kończynach. Z pod turbanu, z nad lewego ucha wyciągnął drugą parę nożyc, przypominających nożyce do strzyżenia owiec: do ust włożył garść szpilek i rzucił się, jak zgłodniały sęp, na jedwabna suknie, której długie rękawy miały mu służyć za idealny wymiar i wzór. Sukienkę powąchał, pomacał palcami, materjał rozejrzał pod światło i rozpostarł niedbale na rdzawym dywaniku.

Ale pani majorowa, krażaca niespokoinie nad osobą krawca, niby gołębica nad gniazdem pisklat, już była przy nim z prześcieradłem, protestując kategorycznie przeciwko zbyt nonszalanckiemu traktowaniu delikatnych kawalków garderoby niewieściej.

Dirzee był sobie zapewne, zwyczajnym krawcem meskim i miał do czynienia z rajtuzami do konnej jazdy. Nie do pomyslenia, aby na tej cuchnacej derce można rozłożyć śnieżnej białości koronkę, z któ-

rej miały powstać modne rękawy, a za którą zapłaciła na Bond-Street 15 szylingów za łokieć angielski.

Pani Agnieszka poparła gorąco słuszność podobnego założenia, ale dopiero Aja zdołała wytłumaczyć temu dzikusowi, o co chodzi. Wysłuchał bowiem cierpliwie gestykulacji Madam i zabrał się z flegmą do krajania... prześcieradła, z którego widocznie miały być uszyte długie rękawy do wieczorowej toalety. W zawile definicje gustów europejskich nie wniknął: koronka jest biała i płótno cienkie również. Pasuje jedno do drugiego znakomicie. Przywołana wczas Aja wyrwała nożyce z czarnych łap mistrza i, wyrzucając sto słów na minutę, tłumaczyła gorąco, jak wielkim jest głupcem.

Krawiec siedział po turecku, uśmiechnięty zagadkowo, niczem Budda i kiwał głową owiniętą w biały turban, na znak, że teraz rozumiał wreszcie, o co chodzi. Bąknął zresztą mimochodem, że co się tyczy skrupułu, że koronka mogła być przybrudzona, na to rada się znajdzie. Tu rzucił króciutkie, jak zaklęcie, słówko: dhoobie²⁾.

Pani majorowa złapała się za głowę.

Świętą prawdę wyznał ktoś w tym podłym kraju, że dhoobie, pracza rodzaju męskiego (kobiety hinduskie nie chodzą do tego rodzaju posług) i dirzee krawiec popierają się wzajemnie, żyjąc w najczulszej zgodzie. Jeżeli bowiem butler³⁾ wojował wciąż z cookiem o hegemonję władzy w domu Sahibów, hamal był na noże z szoferem; zamiatacz nienawidził nosiwody, chłopak kredensowy i ogrodniczek skakali sobie do oczu, jak rozwścieczone koguty, a pyskata Aja, stojąca najbliżej najwyższej instancji w tym domu, Madam, której woli powolny był nawet, tylko napozór buńczuczny Sa-



Memsahib...

¹⁾ tonga — typowy wózek hind.

²⁾ dhoobie — pracza po hin.

³⁾ butler — starszy lokaj p. h.

hib, znajdowała się w ostrej opozycji z całym dworem, tych dwóch popierało się wzajem w cichej ugodzie. Wszystko bowiem, co wyszarpał łopatką, koronki, hafty, powyłukał kamieniami, guziki i sprzączki, dħobie, piorąc zapamiętałe, naprawić musiał sumiennie dirzee. i vice-versa, to czego się dotknęły w gorączkowym pośpiechu ciemne dłonie krawca, musiało przejść przez rytuał, oczyszczający w dłoniach praczki. I tak było od wieków.

Ale gdy dla każdej Madam, której los zrządził, aby zakładała w tym piekielnym kraju dom swój, dirzee był malum necessarium sporadycznym, o tyle dħobie stawał się biedą chroniczną, pojawiającą się systematycznie co poniedziałek z tobołem świeżo upranej i poszarpanej bielizny, aby zabrać nową porcję na udrękę w sadzawkach okolicznych plantacyj ryżu.

Pani majorowa pełna już wątpliwości w kunszt delikwenta, który mianował siebie krawcem — przy

tej okazji okazało się, że wcale nie był stryjkiem, ani bratankiem dirzee pani kapitanowej, lecz krewniakiem znajomka Aji — sama zabrała się do krajania.

Bardzo był stropiony.

Oczywiście chciały go wystrychnąć na dudka. Z tych kawalków bowiem, co mu dały, nie skleci ani głowy, ani nawet porządnego ogona.

d. c. n.

Hanna Skarbak.

Dom pracy dobrowolnej

Na ulicy Błońskiej, zdaleka od ruchu i gwaru wielkomięjskiego, stoi jednopiętrowy brązowy dom, otoczony małym, lecz starannie utrzymanym ogródkiem. Przez drewniane sztachety widać dziewczęta w niebieskich fartuchach i w pierwszej chwili brązowy dom sprawia na mnie wrażenie szkoły lub osiedla.

Brązowy dom był rudera, w której mieściła się komora celna, lecz dzięki pracy ludzkich rąk i wysiłku Zw. Pracy Obywatelskiej Kobiet budynek na ul. Błońskiej sprawia miłe i schludne wrażenie. Stał się on przystanią dla dziewcząt, chcących odrodzić się moralnie i fizycznie.

Wśród mieszkanek brązowego domu przeważają analfabетки, chociaż zdarzają się i półinteligentki. Ale wskutek własnej niezaradności i braku przygotowania do życia opuściły się na jego dno. 60% stanowi element wsiowy. Inne pochodzą z proletariatu. Lecz prawie każdej kolebką była ulica.

— One nie są złe — tłumaczy kierowniczką. — Cechuje je zanik woli, brak energii, niemożność czy też

nieumiejętność zdobycia się na jakiś wysiłek.

Przychodzą tutaj ze szpitala św. Łazarza po odbytej kuracji, lub kieruje je Komisja Sanitarno - Obyczajowa. Zdarzają się i zgłoszenia indywidualne.

— Chcę zerwać z ulicą, lecz nie nie umiem robić — zwierza się jedna.

— Powiedziano mi, że jest Dom Pracy Dobrowolnej, więc przyszedłam — szepcze druga.

Różne względy kierują dziewczętami, które przekraczają próg Domu na ul. Błońskiej. Jedne naprawdę chcą się podnieść, inne tylko odpocząć, niektóre przyprowadził tutaj tylko brak garderoby. Ale Dom jest otwarty dla wszystkich i z każdej kierowniczką stara się wykręsać godność ludzką. Bo niema tak nisko upadłego człowieka, któryby nie mógł się podnieść.

Różne są też przyczyny, które skłoniły dziewczynę do wyjścia na ulicę.

— Uwiódł mnie, a potem rzucił — zwierza się jedna.

— Nie miałam z czego żyć — płacze druga.

Z beładnych słów trzeciej wnika, że sprzedawała kwiaty i cukierki, a potem swoje ciało...

Dziewczęta naogół opowiadają o sobie chętnie, chcąc usprawiedliwić się przed kierowniczką i kuraorką. Ale brązowy Dom nie żyje przeszłością, lecz terażniejszością i przyszłością. To, co było złe, należy wykreślić, bo tylko w ten sposób można odzyskać prawa człowieka, pełnowartościowość i zrehabilitować się. Więc uczy się nieszczęśliwą, że pobytu w Domu nie należy traktować jako jałmużnę.

„Człowiek czynił złe, bo miał niedługo życie. Społeczeństwo nie dbało o niego. Teraz płaci dawny dług! — Oto hasło Domu.

W sypialniach dziewcząt też nie mówi o przeszłości. Widziałam szereg sypialni, w których stoją rzędem porządnie zasłane łóżka, ale prócz nielicznych podobizn aktorów filmowych nie zauważyłam ani jednej fotografii. Bo bezimienna jest przeszłość „kapłanek wolnej miłości“...

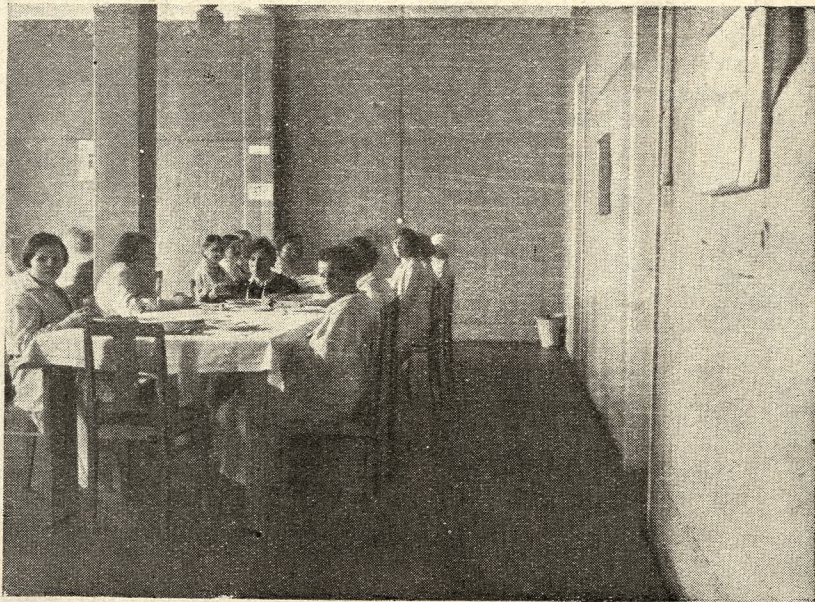
Każda z nowoprzybyłych podlega na miejscu badaniu lekarskiemu. Dom posiada gabinet lekarski, w którym honorowo urzęduje dr Bojarska, dr Czarnota i płatne pielęgniarki. Chore zaraźliwie odsyła się do szpitala. Inne w miarę potrzeby leczą się ambulatoryjnie na miejscu.

Dom prowadzi nieubłaganą walkę z nierządem i walczy o rehabilitację kobiety. Ponieważ dziewczęta są słabe i niezaradne, potrzebna im jest opieka zamknięta. To też tutaj mieszkają, tutaj następuje odrodzenie fizyczne i moralne, tutaj uczą się fachu, tutaj pracują. Dom jest samowystarczalny, dziewczęta same piorą, prasują, gotują i sprzątają.

— Nawet same wykończyłyśmy odnowienie Domu — opowiada kierowniczką.

Wychowanki nie podlegają więcziennemu rygorowi.

— Wszystko zależy od ich dobrej



W jadalni.

woli — tłumaczy. — Dlatego pozwalamy im wychodzić samym na miasto. Nie odrywamy je od życia. Prowadzimy do kina i na koncerty. Nie usuwamy je od niebezpieczeństwa. Jeżeli teraz nie przemogą siebie, potem będzie za późno...

Interesuje mnie, czy zaszły wypadki braku „dobrej woli“. Okazuje się, że dotąd zdarzyły się dwa dobrowolne wypadki opuszczenia zakładu (Dom istnieje od listopada r. ub.). Jedna z owych dziewcząt cierpiała na epilepsję. Druga była już w 13 zakładach i z każdego usuwano ją za lenistwo i pijaństwo.

Mieszkankom brązowego Domu wolno przyjmować odwiedziny krewnych i znajomych w niedziele i święta.

— Tylko nie mów, że to brat lub kuzyn — upomina kierowniczką, gdy jakaś Mania lub Frania prosi o pozwolenie przyjęcia znajomego.

— Narzeczony — czerwieni się zagadnięta.

I „narzeczony“ wchodzi do Domu. Naturalnie odwiedziny odbywają się w świetlicy lub w ogrodzie pod dozorem nauczycielek. Ale dziewczęta są dumne, że opuściły szeregi nierządnic, że nie mają kart rejestracyjnych, nie chodzą „na wizytę“, są traktowane jak ludzie i przyświeca im nadzieja zajęcia znowu miejsca w społeczeństwie.

Czas przebywania w Domu trwa od 3 miesięcy do 3 lat.

— Muszą odbyć gruntowną kurację duszy — tłumaczy kierowniczką.

Miejsc w zakładzie jest 32, a zajętych 27. Bo nie każda dziewczyna potrafi pracować i nagiąć się do porządku. Ale przykład robi swoje. Jedna przysyła drugą...

— Mamy nadzieję, że niezadługo nie starczy miejsc i projektujemy założenie takich samych Domów w innych miastach — dodaje kuratorka. — Chcemy w przyszłości stwo-



Dom pracy dobrowolnej.

rzyć rodzaj hotelu dla dziewcząt po wyjściu z Domu i zatrudniać je w naszych szwalniach.

Dziewczęta uczą się w zakładzie osobistej higieny, czystości, przechodzą kurs szkoły powszechnej, uczą się gimnastyki. Prócz tego każda otrzymuje wykształcenie fachowe, jak praca domowa, czapkarstwo, szycie bielizny, haft i t. d. Każda wychowanka ma udział w zyskach, które są minimalne, bo nie przekraczają 15 gr. dziennie.

— Praca ich jest mało wydajna — wzdycha kierowniczką. — Nie umieją pracować, są leniwe, słabowite...

Bo zawód „kapłanek wolnej miłości“ podkopuje zdrowie.

Wychowanie dziewcząt odbywa się systemem dr Korczaka. Tablice postępów, uplastycznienie podnoszenia się i upadku stanowią bodziec, działający dodatkowo na dorosłe kobiety o poziomie dzieci. Na ścianach wiszą tablice z rozmaitemi sentencjami, jak np. „Chcę być

zdrowa“, a pod spodem szereg imion i przy każdym kółko, kreska, lub plus.

— Tablica ta stanowi kontrolę czystości — objaśnia kierowniczką. — Plus oznacza, że codziennie myje się. Minus — nie myła się bez usprawiedliwienia. Kółko symbolizuje usprawiedliwioną odmowę.

Takich tablic jest wiele. O ile dziewczyna w przeciągu tygodnia zasłuży na same plusy, otrzymuje złoty znak i jest wpisana na złotą listę. Istnieje również czarna lista, na której figurują imiona dziewcząt, szkodzących gromadzie. Lista ta przechowuje się w biurku kierowniczki.

Patrzę na istoty, z których prawie każda była w szpitalu św. Łazarza, wielu nieobca jest cela więzienna, a teraz płaczą i radują się, jak małe dzieci...

— Przychodzą tutaj podobne do dzikich zwierzątek — opowiada kierowniczką. — Nie umieją się zachowywać, wylewają zupę na stół, przeklinają, biją się. Ale zdrowa atmosfera i przykład koleżanek robi swoje...

Moje odwiedziny wypadły w święto 3-go maja i byłam świadkiem, jak były prostytutki odczytywały swoje okolicznościowe referaty. Ze wzruszeniem słuchałam, gdy dawna dziewczyna uliczna czytała drżącym ze wzruszenia głosem o święcie konstytucji, o Marszałku Piłsudskim. A potem śpiewały chórem „Jeszcze Polska nie zginęła“. „Z dymem pożarów“. I z ust, które splugawiło życie, płynął hymn narodowy, a na twarzach dziewcząt malowała się powaga chwili i głębokie przejęcie. Wpływ Domu uzewnętrznił się w ich spojrzeniu, zachowaniu, nawet rozmowie.

— Zerwałyśmy na zawsze z przeszłością — zdały się mówić ich oczy.

St. Osińska.



Dziewczęta przy pracy.

Nieznana pisarka niemiecka

Autorka, o której mówić będziemy w tym szkicu, jest dziś potrosze znakomitością na emeryturze. Żyje wprawdzie otoczona sławą i czcią, ale rzadko kto jeszcze zagląda do napisanych przez nią książek. Żywy człowiek — a już niemal postać historyczna; świeże, nieobeschłe dzieła — a już w lwiej części cząstka bezpowrotnej przeszłości.

A jednak Ricarda Huch będzie miała swoją stronicę w historii literatury niemieckiej. W jej obfitym i różnostronnym dorobku są pozycje, po dziś nieprzedawnione. Jej książki, pachnące starością tak bardzo odległych lat przedwojennych, mają niekiedy akcenty, ogromnie bliskie dzisiejszemu czytelnikowi. Rzecz dziwna, te staromodne romanse może dopiero dzisiaj byłyby w pełni zrozumiane i odczute.

Mówiąc o tak mało znanej pisarce, wypada zacząć od obowiązkowych dat, rodowodu, informacji biograficznych i t. p. Ale, gdzie szukać biografii autorki żyjącej, więc jeszcze nie wydanej na pastwę historykom literatury? Trzy duże rozprawy o Ricardzie Huch, które wpadły mi w ręce, dużo mówią o twórcy, milczą o człowieku. Wiec z tej dziedziny tylko jedna sucha data — rok urodzenia — 1866. Nic z tych drobiazgów i ciekawostek, które tak wybornie charakteryzują osobę i tło.

Atmosfera? Sądząc z książek, zamienne mieszczaństwo niemieckie. Wysoki poziom kultury, tradycje patrycjuszowskie. Ale równocześnie występują pierwsze oznaki rozpoczynającego się procesu dekadencji i degeneracji. Widzimy, jak potomkowie starych rodów kupieckich poczynają ze wstrętem odwracać się od zajęć handlowych. Po pokoleniach energicznych, prostych, surowych w obyczajach kupców, fundatorów podstaw mieszczańskiego społeczeństwa, przyszła generacja ludzi słabych, prerafinowanych, niezdolnych do walki z życiem. W młodem pokoleniu szerzy się niepokój duchowy, pęd do sztuki (stąd panujący pod koniec XIX-go wieku estetyzm) i — powrót do religji. Bo tylko łaska nawrócenia ucisza serca tych skołatanych burzliwym życiem schyłkowców. Jak Ludolf Urslen, bohater powieści Ricardy Huch, chronią się oni w cichej celi klasztornej i stąd, z pogodą ludzi starych i wierzących, rozsnuwają przed nami koleje niemieckich rodów

mieszczańskich, historję ich świetności i stopniowego upadku.

I właśnie te kilka książek Ricardy Huch, książek mieszczańskich, napisanych przed czterdziestu i trzydziestu laty, ma największą i najtrwalszą wartość z jej obfitego dorobku literackiego. Czego w nim niema! Są zbiory poezyj i tomy nowel, studia filozoficzne i literackie, a zwłaszcza bardzo liczne powieści historyczne. Niektóre z tych opowiadań, osnutych na tle dziejów włoskich i niemieckich, cieszyły się niegdyś znacznym rozgłosem. Wszystkie jednak grzeszą tem, że są jedynie zbiorami pięknych fragmentów, mozaiką malowniczych i nastrojowych scen — słowem, brak im szczerego żywiołu epickiego. Dlatego rozległe te freski dziejowe (największy z nich, osnuty na tle wojny trzydziestoletniej, liczy ponad tysiąc trzysta stron druku) mało mają widoków na nieśmiertelność.

Natomiast trzy powieści „Wspomnienia Ludolfa Urslena młodszego“, „Vita somnium breve“ czyli „Michał Unger“ i nieco odmienna charakterem „Uliczka Triumfalna“ — tworzą wraz z krótkim, a niezwykle przejmującym opowiadaniem „Ostatnie lato“, najciekawszą część twórczości Ricardy Huch. Z dziwnym uczuciem odkrywamy w tych starych książkach, obciążonych kilkoma dziesiątkami lat, zupełnie nowoczesne, dzisiejsze uciecie najważniejszych spraw ludzkich. Tak, mimo czasu, który nas oddziela od tych powieści, są nam one niekiedy zastanawiająco bliskie.

Rzucmy okiem na treść powieści „Vita somnium breve“.

Michał Unger, potomek zamożnej rodziny kupieckiej, przez długie lata z oddaniem pracował pod kierunkiem swego ojca. Niespodzianie, pewnego dnia wiosennego poczuł w sobie przyływ nowych, nieznanych sił i od razu spojrzął na świat innemi oczyma. Pierwszy raz dostrzegł nużącą jednostajność swej codziennej orki i postanowił, że dłużej tak być nie może. Zobojętniawszy oddawna dla żony, daje się porwać innej, gwałtownej miłości do młodej malarki Róży. Opuszcza miasto rodzinne i rozpoczyna nowe życie, pełne treści i piękna.

Ale te najszcześniejsze lata Michała, wypełnione studjami naukowymi, do których okazał nieoczekiwane niepospolite zdolności,

oraz niezawodną, zawsze wierną miłością do Róży, skończyły się szybciej, niż mógł to przypuszczać. Siły młodości, które w spóźnionym wieku przejawiały się z tem większym rozpędem, zaczęły się rychło wyczerpywać. Wiedziała o tem żona Michała, Verena. Wyzyskała więc miłość jego dla synka Maria i Michał ugiął się po raz pierwszy — dla Maria wyrzekł się Róży. Kiedy zaś przejęte przez jego brata interesy doprowadziły rodzinny dom handlowy nad skraj ruiny — po raz drugi ugiął się przed twardego wyrokiem losu; wyrzekł się studjów naukowych. A wreszcie spotkała go trzecia, najboleśniej-sza klęska: zauważył, że jego ukochany syn Mario odwraca się odeń, odziedziczył bowiem po matce i babce prerafinowany estetyzm i nie umie kochać ludzi starych i brzydkich...

Michał Unger jest typem człowieka, którego zdruzgotał los. Zbudziły się w nim porywy, jak mówi poeta: „serce jego wołało w szalejące morze: o życie! o piękno!“ — Nieobliczalna siła żywiołu wyrwała go z rodzinnego środowiska, pchnęła na drogę czynów nierozumnych i po kilku latach porzuciła — przedwcześnie postarzałego i zniszczonego.

Słabość człowieka wobec losu, wobec sił wewnętrznych, jest ulubionym motywem literatury współczesnej. W powieściach Kadena, w nowelach Wierzyńskiego wstępuje ten sam, co u Ricardy Huch, irracjonalizm losu, który prowadzi człowieka na szczyty i straca go w przeraść. Niestety, pisarka niemiecka, tak współczesna w swej postawie wobec życia, zbyt uległa wpływom impresjonizmu, nie miała zrozumienia dla uroków prostoty. Kochała się w kolorowości opisów, z upodobaniem wydobywała z krajobrazów symbolikę i nastrojowość, nie umiała powściągnąć niepohamowanego liryzmu. Spotykamy w jej powieści niekiedy istne hymny proza. Ta ciągła egzaltacja nuży współczesnego czytelnika, przyzwyczajonego do większego opanowania, większej skromności w operowaniu efektami stylistycznymi.

Natomiast postawa pisarki wobec życia dziś jeszcze zasługuje na uwagę. Rzecz ciekawa: wychodząc z irracjonalizmu, buduje Ricarda Huch teorię filozoficzną o wyższości kobiety nad mężczyzną. Zdaniem jej, mężczyzna, stojąc na

wyższym szczeblu samopoznania, kieruje się głównie rozumem, który go w decydujących chwilach zawodzi. Natomiast kobieta, obdarzona większą intuicją, umie przeczuć i działać instynktem tam, gdzie intelekt staje bezradnie.

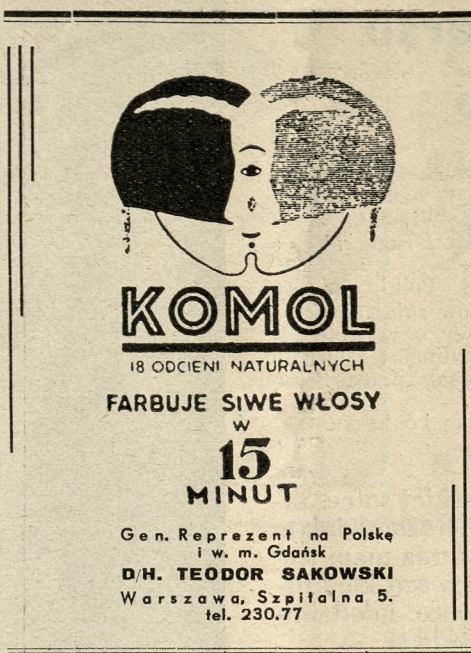
Piękną, poetycką ilustracją tezy o wyższości pierwiastka kobiecego nad męskim jest „opowiadanie w listach”: „Ostatnie lato”. Forma epistolograficzna nadała noweli tak rzadki u Ricardy Huch wdzięk naturalności i prostoty.

Treść jest następująca: Gotuje się zamach na rosyjskiego gubernatora; datę śmierci wyznaczono z matematyczną ścisłością. Wykonawca wyroku znajduje się już w domu ofiary, w charakterze — o ironji! — obrońcy gubernatora przed grozącymi pomstą terrorystami. Mężczyźni — gubernator i jego syn — nie nie przeczuwają, mają zupełne zaufanie do niebezpiecznego gościa; natomiast kobiety, choć skrywie kochają się w pięknym młodzieńcu, mają jakieś niejasne zagadkowe przecucia.

W noweli tej kojarzą się trzy motywy przewodnie, wysoce charakterystyczne dla Ricardy Huch. Motyw płci — motyw tragicznego i nieodwracalnego losu (ostatecznie gubernator i jego żona giną) i trzeci, nieporuszany jeszcze w tym szkicu, motyw wzajemnego nierozumienia.

„Ricarda Huch — mówi Oskar Walzel, monografista autorki „Michała Ungera” — wie, że człowiek nigdy w pełni nie rozumie drugiego człowieka; wie ona przede wszystkim, że niema żadnych niewnych połączeń między dwoma ludźmi”. Powieść „Z uliczki Triumfalnej”, której temat Walzel określa w słowach „daremna walka o zrozumienie się” — jest w całości poświęcona rozwinięciu tego trzeciego motywu twórczości Ricardy Huch. I tu nasuwa się bardzo wyraźne pokrewieństwo tej pisarki z Nałkowska. Już ta piękna scena w „Michale Ungerze”, kiedy bohater z żalem opuszcza swą żonę, gdyż czuje, że musi tak uczynić, żywo przypomina niektóre epizody dramatu Pawła i Agnieszki w „Niedobrej miłości”. Obie pisarki zajmują niezmiernie podobną postawę wobec uczucia. Czytamy w „Uliczce Triumfalnej”: „Wam, kobietom, byłoby chyba lepiej bez mężczyzn, a jednak zawsze człogacie się za nimi. Cóż to jest? Głupota? Szaleństwo? Miłość?” — To jest przeznaczenie, odpowiedziała, nie zaprzeczając mi bynajmniej”.

Komuż przy czytaniu tych słów nie przypomniał się ostatnia scena



z „Domu kobiet”, gdy Ewa, wołana przez człowieka, który ją porzucił i unieszczęśliwił, biegnie za nim, rezygnując z chroniącego od burz życiowych zacisza.

Kiedy indziej czytamy w tej samej powieści: „byłem tak blisko niego, że mogłem go trafić i zranić boleśnie, a kiedy zaraz potem chciałem to załagodzić, był już niedosiężnie daleki, że nie mogłem do niego przystąpić”. Tak właśnie bohater opowiadania, Hugo von Belwatsch, pragnął zbliżyć się do starej, biednej kobiety Farfalli. Już zdawało mu się, że posiada jej sympatię, że darzy go wdzięcznością za tyle wyrządzonych dobrodziejstw. Ale w pewnej chwili dostępuje, że w istocie wznosi się między nimi nieprzenikniona ściana. Czy nie to właśnie jest treścią przeżyć Joanny z „Domu kobiet”, kiedy dowiaduje się, że ukochany przez nią człowiek był inny, niż myślała, że obraz, jaki sobie o nim wytworzyła, był fałszywy?

Trafnie i pięknie pisze o tem Walzel: „Ściana, wyrastająca nawet

między najbliższymi sobie ludźmi, stale ukazuje się w opowiadaniach Ricardy Huch. Z upodobaniem przedstawia ona, jak w pewnej chwili przychodzi nagła świadomość istnienia tego muru, jak między dwojgiem staje przeszkoda, której nie mogą ominąć. I jak zawodzi każda próba usunięcia tej przeszkody.

W powieści „Z uliczki Triumfalnej” rozwija Ricarda Huch szeroki obraz życia świata przedmieść, świata nędzy i zbrodni.

I w tej dziedzinie twórczości obserwujemy znaczny paralelizm z autorką „Ścian świata” i „Dnia jego powrotu”.

Autorka niemiecka jest fatalistką. Mówi: „Niektóre dusze zdają się, jak magnesy, przyciągać do siebie nieszczęście, inne — szczęście”. Wobec ślepej przemocy losu nawet najstraszniejszy zbrodniarz jest w pewnym sensie usprawiedliwiony. I rzeczwiście Ricarda Huch jest fatalistką; o jednym z bohaterów jej powieści czytamy, że nie umiał się wyrzec mordowania „jak inny nie umie się odzwyczaić od wina lub tabaki”.

A jednak odczucie irracjonalnego zła świata nie stłumiło w Ricardzie Huch wrażliwości na niezrozumiałe, trujące uroki życia. Mimo wszystko, motywem przewodnim „Michała Ungera” jest radostny okrzyk „O życie! o piękno!” W „Uliczce Triumfalnej” woła poetka: „Włóż nam na głowy twoją koronę cierniową, o życie, jeśli choć jedna róża między cierniami rozkwita i zapachnie nam woń, płynąca z jego rosistego kielicha!”

Dopiero później, w ostatniej fazie twórczości nastąpił zwrot. W roku 1916-ym, w czasie szalejącej zawieruchy wojennej, wydała R. Huch książkę „Wiara Lutra”. Tytuł mówi dostatecznie o kierunku metamorfozy. Ricarda Huch wyrzekła się świata — świata, który o niej zapominał.

Ludwik Fryde.

Najmilszym przyjacielem jest dobra książka
największą ozdobą każdej biblioteki jest pięknie wydana książka
najdostępniejszą rozrywką jest tania książka

Dobre, piękne i tanie książki
wydaje Tow. Wyd. „BLUSZCZ”

Ostatnio ukazała się książka
Jadwigi Kiewnarskiej p. t.

Najdziwniejszy z romansów pani Sand

Do nabycia we wszystkich
księgarniach

CENA 6 zł.

Laureatka konkursu wiedeńskiego

Na międzynarodowych zawodach tańca artystycznego Polki odniosły całkowite zwycięstwo. W dziale solistek pierwszą nagrodę ufundowaną przez Gretę Wiesental w sumie 1.000 zł. otrzymała p. Ziuta Buczyńska. Drugie miejsce zajęła Pola Nireńska.

Ogółem na 9 nagród i na 5 dyplomy Polki zdobyły 5 nagród i 5 dyplomów. W dziale zespołów zajął pierwsze miejsce zespół p. Mieczysławskiej z Warszawy, uzyskując nagrodę miasta Wiednia w sumie 1.000 szylingów. Drugie miejsce zajął zespół wiedeński, kierowany przez Polkę p. Fedro.

Poniżej podajemy wywiad z laureatką konkursu wiedeńskiego p. Ziutą Buczyńską.

Siedzimy w różowym pokoju, na niskiej sofce, zarzuconej poduszkami i maskotkami. Rozmawiałam z panią Buczyńską tyle razy, a jednak teraz mam tremę. Stoję przed laureatką międzynarodowego konkursu tanecznego. Jest taka jak zawsze, dobra, młodziutka, ze swoim bezpretensjonalnym uśmiechem.

— Ach, nic już nie mogę powiedzieć! — skarży się. — I o Wiedniu za żadną cenę nic już nie powiem. Powtarzałam to wszystkim reporterom tyle razy, i tam i w Warszawie.

— Wiedeń? To przecież nie jest najważniejsze — mówię. — Chciałabym coś o pani.

— To niech mnie pani pyta sama, bo ja ze zmęczenia nie mogę zebrać myśli.

— Kiedy zaczęła pani myśleć o tańcu?

— Jako szesnastoletnia dziewczynka, wstąpiłam do Mieczysławskiej. W następnym roku życia wyszłam za mąż i jestem już sześć lat mężatką. Teraz mam dwadzieścia dwa.

— A dlaczego poszła pani do szkoły tańca? Czuliła pani jakąś nieświadomą potrzebę wypowiedziania się w ten sposób?

— Nie, poszłam tak sobie, dla przyjemności, potem wszystko samo się wywiązało.

— W jaki sposób, prócz szkoły, kształciła się pani?



Ziuta Buczyńska w kostjumie ludowym.



Ziuta Buczyńska

— Czytuję książki o tańcu i nie tylko o tańcu. Wogóle literatura pomaga mi do rozwoju, nasuwa refleksje.

— Czy oprócz tańca ma pani jakieś równie silne zainteresowania?

— O tak — odpowiada entuzjastycznie pani Ziuta. — Wogóle sztuka, a przede wszystkim malarstwo. Sama maluję, projektuję wszystkie swoje kostjomy, a kiedy komponuję taniec, zawsze dbam o to, aby każdy ruch był dobry w rysunku.

Telefon. Pani Ziuta znika za mieniącą się, złoto-brązową kotarą. Z drugich drzwi wysuwa się ogromny, popielaty łeb w czarne łaty. W pierwszej chwili chce uciekać, ale orjentuje się, że to mnie nie ocali. Czekam więc, przerażona. Ogromny dog podchodzi do mnie, wacha poważnie moją twarz, włosy, ubranie; potem z ufnością kładzie mi łeb na kolanach. Po chwili pani Ziuta znowu siada przy mnie.

— Wciąż telefony i wywiady! — mówi.

Rzeczywiście, nastrój podniecenia panuje w tym cichym, jasnym pokoiku, urządzonym z pogodą i spokojem.

— Jakiego rodzaju tańce lubi pani najbardziej?

— Wyzwolone: te z ekspresją, i tańce chłopskie. Mają jakiś dziwny, swoisty urok.

— Tyle słyszałam o pani tańcu „Niepotrzebne dziecko”. Czy i pani sama uważa go za swój najlepszy?

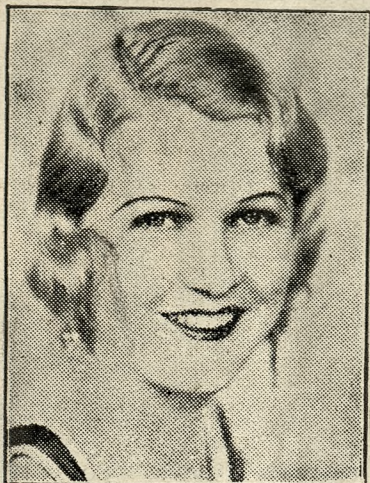
— Tak, lubię go.

— Jak jest skomponowany?

— Wie pani, to jest o takim biednym dziecku, sierocie, które nie ma nic dobrego a czuje, że mu się coś od życia należy. I wciąż do czegoś dąży, czegoś pragnie. A kiedy już zdaje mu się, że to osiąga, spotyka je rozczarowanie. Kończy się rezygnacją. Dziecko zrozumiało, że niczego nie zdobędzie, przestaje walczyć.

— Ciekawa jestem, w jakich okolicznościach powstał ten taniec?

— Zadaje mi pani pytania, które wymagają myślenia. Pierwszy poważny wywiad. Dotąd miałam wywiady tylko z mężczyznami. a oni wszyscy pytają, ilu mężczyzn uwiodłam, jak się bawiłam. Jeżeli chodzi o powstanie tego tańca... Widzi pani ja mam takie warunki materialne, że mogę sobie na wszystko pozwolić. jednak stykam się z nędzą, interesuję się i nawet opiekuję biednymi dziećmi. Poznaję ich charakter, pragnienia, niedolę. I to mnie bardzo obchodzi. To jest dla mnie bardzo ważne. Te dzieci, zawsze głodne, zawsze nienasycone, pragnące czegoś. Ale, byłabym zapomniała, bardzo wielką rolę odgrywa dla mnie muzyka. Melodje komponuje mi młody muzyk, pan Adam Kapuściński.



— Więc jest pani zwolenniczką sztuki społecznej?
— Nie. Sztuka dla sztuki.
— A przecież „Niepotrzebne dziecko” to temat społeczny?

— Nigdy się nad tem nie zastanawiałam.
Pani Buczyńska nie „studjuje” zagadnień społecznych, nie traktuje tego jako wiedzę, nie wyczytuje tych rzeczy z książek. Odczuwa nędzę własnem sercem i patrzy na nią oczyma swojej tkliwej, kobiecej duszy. Spotyka się z nią bezpośrednio i przez swego męża, adwokata. Widzi nędzę w życiu i taką, jaka ona jest, przenosi do swej sztuki.

— Co będzie pani teraz robiła? Jak zużytkuje pani ten sukces?
— Będę się uczyć.

Urok Kobięcy

to miły uśmiech.
Uśmiech, to białe zęby.

Dentolin

Karpińskiego

nie tylko biele i czyści zęby, ale
zapobiega tworzeniu się kamienia
i wzmacnia dziąsła.

DENTOLIN nie zawiera mydła.

— Teraz powinna się pani dać poznać całemu światu.

— Ach — odpowiada z zażenowaniem i szczęśliwym uśmiechem — trzeba się jeszcze wiele, wiele uczyć.
St. Sznap...

Egz. od 1925 r.

Zawodowe Zakłady Naukowe — Dr. med. Marty Biernackiej — i Iny Kisielewskiej. —

I-sze Kursy Przyrodolecznicze (dwuletnie)

(dla pomocniczego personelu lekarskiego)

I-sze Kursy Kosmetyczne (półroczne)

I-sza Szkoła Masażu Leczniczego (półroczna)

Dyplomy dają prawo praktyki.

Informacje i zapisy: Warszawa, Szopena 16.

Letnie premje dla czytelniczek „BLUSZCZU”

Uważając, że najlepszą PROPAGANDĘ pisma mogą i powinny prowadzić jego CZYTELNICZKI i chcąc je do tej akcji zachęcić, obmyśliśmy dla nich na sezon letni następujące PREMJE:

I

każdej Prenumeratorce dotychczasowej, która zjedna „Bluszczowi” jedną NOWĄ PRENUMERATORKĘ, opłacającą ZGÓRY PRENUMERATE KWARTALNĄ, przyznamy premję w postaci KOMPLETU WYROBÓW PERFUMERYJNYCH FRYDERYKA PULSA wartości 5 złotych po cenie hurtowej, a mianowicie, do wyboru:

KOMPLET A.

Krem „Uroda” do pielęgnowania cery, flakon wody kolońskiej i 6 sztuk mydła kwiatowego.
albo

KOMPLET B.

Flakon wody kwiatowej, Krem oczyszczający i 3 mydła kwiatowe większe.

II

każda PIĄTA z dotychczasowych prenumeratorek „Bluszczu”, które wniosą ZGÓRY PRENUMERATE KWARTALNĄ, otrzyma niezależnie od poprzedniego taką samą premję.

Z teatrów

„AWANTURA O JOLANTE” W TEATRZE
POLSKIM.

Brzmi to bardzo romantycznie, a wygląda... mocno ordynarnie. Jolanta to ani kasztelanka, ani tancerka, ani dziewczyna portowa. Poprostu maciora, zafantowana w niemieckim folwarku za podatki a potem na złość żandarmom przez jej właściciela i jego kompanów wykradziona. Idealny temat dla półgodzinnego sketchu, na cały wieczór komedjowy trochę za ubogi i zbyt... jednostronny. To też autor ratuje go i podpierając akcją miłosną, toczącą się na marginesie „sprawy świńskiej”. Jolanta jest osiá, ale córka właściciela folwarku istotną bohaterką sztuki. Jej musująca, i krwista młodość, jej namiętna zalotność, spryt, filuterja, wrodzony zmysł równowagi, na niej i na jej losach skupiają zainteresowanie widza.

Właściwie całe to rodzajowe malowidło z życia burżuazji niemieckiej współczesnej wsi żyje doskonałymi postaciami. Każda z nich: właściciel folwarku, jego córka, nauczyciel wiejski, parobek, dziewczka folwarczna, żandarm, gospodarz — to typ, to mocno i wyraźnie postawiona indywidualność, której całkowite wygranie zależy tylko od artystów.

Ci zaś nie tylko nie zawiedli, ale przeszli oczekiwania. Może dlatego, że każdy czuł się w swej skórze. Samborski jako hodowca świń, pyszny typ niemieckiego sobiepana i warchoła, Eichlerówna jako krwisty bakfisz, nie mogący doczekać się wesela, Daczyński jako zakochany nauczyciel pół-inteligent w gronie półanalfabetów, — Justjan jako tęp i przebiegły parobek, Dominiak jako żandarm i wreszcie — kto wie,

*Eichlerówna i Żabczyńska
w „Awanturze o Jolantę”.*



Daczyński i Eichlerówna.

czy nie najbardziej porywająca i żywiołowa Żabczyńska jako dziewczka folwarczna.

Może najmniej kolorowy był Fabisiak w roli wioskowego donżuana, ale może to wina samego autora, który poskapił mu cech „szczególnych”.

Tyle o literackiej i artystycznej stronie sztuki. Ale poza nią istnieje, stokroć ważniejszy może dla polskiego widza punkt zainteresowania obywatelowo - politycznego. A więc tak wygląda dzisiaj wieś niemiecka? — mówimy do siebie, wychodząc z teatru. Bogata, syta, harda, zmaterjalizowana do szpiku kości, nieustepliwa. W tej sztuce ludzie ustawicznie nie jedzą, ale żrą. Świniobicie jest świętem rodzinnym, — na scenie zjawiają się potworne schaby, olbrzymie misy kartofli i ogórków kwaszonych, antalki piwa, nawet wino. Dobrobyt, więcej — nadmiar, od jakiego dawno odwykła już wieś polska.

Chleb rozpieiera! To chłonstwo niemieckie, napęczniałe od sznoku i piwa, ostro stawia się władzy, bezczelnie symuluje niedostatek, wykreca się od podatków, w żywe oczy kpi z żandarma i od najbiedniejszego popychadła folwarcznego do bogacza jest związane żelazną solidarnością, skoro chodzi o obejście prawa. Ci ludzie mogą sobie wzajemnie podkraść szczupaki ze stawów, ale stają ramię przy ramieniu i zapominają wszelkich uraz, gdy trzeba egzekutora podatkowego wystrychnąć na dudka.

Temat niesłychanie popularny na całym kontynencie. Niedawno śmieszyła nas francuska „Szkoła podatników”, dziś cieszy nas niemiecka wojna o świnie. Tylko tutaj ostatecznie, chociaż chyłkiem, zwycięża prawo. Córka opornego właściciela folwarku, metodą, odziedziczoną po papie, podkrađa mu ze szkatułki kilkadziesiąt marek i zapłaciła podatek, zanim sprawa o Jolantę z wiejskiej hecy wyrosła na kryminał. A zatem w rezultacie i wilk syty i owca cała, chociaż ta całość mocno zalačuje antypaństwowością. Ponieważ jednak

to wszystko dzieje się u naszych najbliższych sąsiadów, nie czujemy się bynajmniej zgorznięci. Gdybyśmy mogli tak intensywnie odżywiać się, jak oni, kto wie, czy i nam podobne szpryncy nie przysłyby do głowy.

Podobno „Sprawa o Jolantę” jest ulubioną sztuką Hitlera i budzi entuzjazm na scenie niemieckiej. Czyżby signum temporis? Czyżby w tej satyrze na wiejski trzeci stan nie kielkowało ziarno uwielbienia, kultu siły, swoistego rasizmu? Przyglądajmy się uważnie i wyprowadzajmy wnioski.

S. P. O.

Święto Morza

Odezwa na dzień „Święta Morza”.

Liga Morska i Kolonjalna i Główny Komitet Wykonawczy „Święta Morza”, które odbędzie się w całym kraju w dniu 29 czerwca, ogłosiły następującą odezwę:

„OBYWATELE!

W dniu 29 czerwca cała Rzeczpospolita obchodzi uroczyste tradycyjne „Święto Morza”. Radosny obchód odwiecznego związku narodu i państwa z morzem niech nam przypomni wielką prawdę, że własny brzeg morski — źrenicę wolności i źródło dobrobytu Rzeczpospolitej — strzec musi silna flota wojenna.

Siła Rzeczypospolitej, gwarantująca bezpieczeństwo pracy polskiej na wybrzeżu i na morzu — oto najbliższe zadanie, jakie stoi przed Polską — Państwem Morskim.

Dzień „Święta Morza” uczcijmy czynem, składaniem przez wszystkich ofiarnego grosza na Fundusz Obrony Morskiej — będący funduszem dobra publicznego, całkowicie przeznaczonym na rozbudowę polskiej marynarki wojennej.

Pod sztandarem ofiarnej służby dla morza i na morzu stanąć musi przedewszyst-

kiem młode pokolenie, sposobiąc się do wielkich zadań, którym już dziś i w przyszłości sprostać muszą obywatele Państwa Morskiego.

Każdy, kto pragnie współdziałać w utrwalaniu siły morskiej na morzu, niech wstąpi do szeregów Ligi Morskiej i Kolonjalnej, jedynej w Polsce organizacji społecznej, strzegącej naszych interesów morskich i dążącej do wyrównania wiekowych zaniedbań na Bałtyku.

Powyzsza odezwa ukazała się w formie artystycznie wykonanego wielobarwnego plakatu, który powinien dotrzeć do wszystkich zakątków kraju, przypominając obywatelom o obowiązkach względem polskiego morza.

UDZIAŁ PANA PREZYDENTA RZPLITEJ W UROCZYSTOŚCIACH „ŚWIĘTA MORZA“.

Do nadania tegorocznym uroczystościom „Święta Morza“ charakteru święta całego narodu i państwa przyczyniło się niewątpliwie wzięcie w niem udziału Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

W dniu 28 czerwca, to jest w przeddzień właściwych obchodów „Święta Morza“, Pan Prezydent był obecny w Warszawie na uroczystości wianków na Wiśle. Ich barwny i urozmaicony program przewidział między innymi, poza całym szeregiem efektownych popisów na wybrzeżach i wodzie, wielką defiladę udekorowanych statków i łodzi przed Panem Prezydentem.

W dalszym ciągu uroczystości „Święta Morza“, Pan Prezydent uda się do Gdyni, gdzie będzie obecny na organizowanym tam w dniu 1 lipca Powszechnym Zlocie Młodzieży. W ramach tej imponującej manifestacji młodego pokolenia odbędzie się w obecności Głowy Państwa uroczyste ślubowanie zgromadzonej młodzieży na wierność polskiemu morzu oraz wielka defilada 50 tysięcy uczestników zlotu.

Podczas swego pobytu nad morzem Pan Prezydent weźmie udział w uroczystym poświęceniu kamienia węgielnego pod olbrzymie schronisko, budowane w Gdyni z inicjatywy i z funduszy Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

Fakt tak żywego zainteresowania się Najwyższego Dostojnika Rzeczypospolitej „Świętem Morza“ napawać musi zrozumiałą dumą i radością wszystkich uczestników tegorocznych uroczystości ku czci polskiego morza, co — wątpić nie należy — jednoznacznie będzie ze wszystkimi obywatelami Rzeczypospolitej.

MŁODA WIEŚ NA POWSZECHNYM ZLOCIE MŁODZIEŻY W GDYNI.

Rzucone z okazji „Święta Morza“ hasło mobilizacji młodego pokolenia pod sztandarem idei morskiej, znajdujące swój realny wyraz w organizacji Powszechnego Zlotu Młodzieży w dniu 1-go lipca, odezwało się żywym echem na wsi.

Według nadchodzących z Głównego Komitetu Wykonawczego „Święta Morza“ informacyj, zwłaszcza liczny udział w Zlo-

cie gdyńskim zapowiedziały organizacje grupujące wyłącznie lub w przeważnej mierze młodzież wiejską. Między innymi zgłosiły imponujące ilości uczestników Centralny i wojewódzkie Związki Młodzieży Wiejskiej, Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, Związek Strzelecki i szereg innych.

Biorąc pod uwagę dotychczasowe, względnie bardzo niewielkie zainteresowanie wsi zagadnieniami morskimi, możnaby się w tym fakcie dopatrywać zasadniczego punktu zwrotnego na przyszłość.

Zorganizowana młodzież ludowa, będąca pionierami wszelkich poczynań kulturalnych i gospodarczych na wsi, ma przed sobą piękne zadanie przełamania panującej tam dotąd obojętności w stosunku do polskiego morza.

HODOWCY GOŁĘBI POCZTOWYCH KU CZCI „ŚWIĘTA MORZA“.

Zjednoczenie Polskich Stowarzyszeń Hodowców Gołębi Poczтовых, zrzeszające miłośników sportu gołębiarskiego, postanowiło specjalnie uczcić „Święto Morza“ organizowaniem w dniu 29 czerwca masowego wlotu gołębi poczтовых z Gdyni.

Urządzeniem wlotu zajęło się z ramienia Dowództwa Obrony Wybrzeża Morskiego Kierownictwo stacji gołębi poczтовых w Gdyni.

Jest rzeczą pożądaną aby wszystkie gołębie, zaopatrzone w specjalne tulejki meldunkowe, rozniosły po całej Polsce hasła morskie, głoszone w okresie „Święta Morza“.

Powyzsza impreza, świadcząca w wysocce dodatni sposób o obywatelskim stanowisku naszych hodowców gołębi poczтовых, przyczyniła się do urozmaicenia organizowanych w kraju w dniu 29 czerwca obchodów ku czci „Święta Morza“, stanowiąc jednocześnie pierwszorzędną próbę sprawności gołębi poczтовых.

PAMIĘTAJMY O DEKORACJACH NA DZIEŃ „ŚWIĘTA MORZA“.

Pragnąc nadać tegorocznemu „Świętu Morza“ charakter nie tylko powszechnej ale też okazałej i radoszej manifestacji całego społeczeństwa na rzecz służby na morzu i dla morza, Główny Komitet Wykonawczy „Święta Morza“ zwraca się z gorącym apelem do społeczeństwa o odpowiedzialnie udekorowanie domów w dniach nadchodzących uroczystości.

Wszystkie miejscowe Komitety „Święta Morza“, rozsiane po całym kraju, posiadają specjalnie wykonane materiały dekoracyjne w postaci lampionów, sygnałówek i chorągwi L. M. i K. Wobec obchodu w roku bieżącym uroczystości wianków w ramach „Święta Morza“ w dniu 28 czerwca należy zwrócić szczególną uwagę na konieczność efektownego udekorowania domów, ulic i t. d., oraz przystani wioślarskich i łodzi zapomocą barwnych, różnokolorowych lampionów, które powinny zapłonąć wieczorem w wigilję dnia „Święta Morza“.

Cena kompletu, składającego się z 10 sztuk różnobarwnych lampionów, lub

sygnałówek, wynosi tylko 3 zł. W tej samej cenie są też do nabycia chorągwie Ligi Morskiej i Kolonjalnej, które w dniu „Święta Morza“ należy wywiesić obok chorągwi państwowych.

Kto zatem nie zaopatrzył się jeszcze w wyżej wyszczególnione, artystycznie i trwale wykonane materiały dekoracyjne na dzień „Święta Morza“, niech się natychmiast zwróci po nie do najbliższego punktu sprzedaży, znajdującego się przy każdym miejscowym Komitecie „Święta Morza“.

IMPONUJĄCA MANIFESTACJA MŁODEGO POKOLENIA W DNIU 1 LIPCA W GDYNI.

Główny Komitet Wykonawczy „Święta Morza“ uzyskał od Ministerstwa Komunikacji kilkadziesiąt specjalnych pociągów, które przewiozą na dzień 1 lipca do Gdyni 50 tys. już zgłoszonych uczestników Powszechnego Zlotu Młodzieży.

Wszyscy uczestnicy Zlotu będą korzystali z 75% zniżki od normalnej taryfy. Przydział miejsc w pociągach dokonany zostanie w stosunku proporcjonalnym do zapotrzebowań poszczególnych organizacji młodzieży. Nad porządkiem poszczególnych transportów będą czuwać specjalnie wyznaczeni Komendanci. Poza względnie bardzo niewielkim kosztem przejazdu uczestnicy Zlotu poniosą wydatek 1 złotego za kartę jednodniowego pobytu na Zlocie w dniu 1 lipca, względnie 4 złote za pobyt trzydniowy od 30 czerwca do 2 lipca. Stosując się do życzeń, wyrażonych na zebraniach organizacji młodzieży zaproszonej do wzięcia udziału w Zlocie, wszyscy uczestnicy winni przyjechać zaopatrzeni w żywność na cały czas swego pobytu w Gdyni. Komenda Zlotu wyda bezpłatnie uczestnikom w dniu 30 czerwca w południe kawę z mlekiem i cukrem, 1 i 2 lipca rano i wieczorem to samo plus pół kilo chleba. Ponadto czynione są starania, aby uczestnicy Zlotu mogli za drobną opłatą kosztów własnych Komendy zakupić banany, pomarańcze, i konserwy mięsne.

Przybyła na Zlot młodzież zostanie ulokowana w namiotach obozowych, bądź też na kwaterach w mieście.

Program uroczystości zlotowych w dniu 1 lipca przewiduje zbiórke uczestników Zlotu na polanie Redłowskiej, gdzie celebrowana będzie uroczysta msza polowa. Po kazaniu i przemówieniach zgromadzona młodzież złoży w obecności Pana Prezydenta uroczyste ślubowanie na wierność polskiemu morzu. Następnie uczestnicy Zlotu przeddefilują przed Panem Prezydentem oraz wysokimi dostojnikami państwowymi, którzy specjalnie przybędą do Gdyni. Po południu przewidywane są barwne pokazy, zawody i popisy na morzu. Wieczorem zapłoną na wybrzeżu ogniska, w świetle których odbędą się barwne występy i widowiska grup regionalnych, osnute przeważnie na tle obrzędowości morskiej. Dnie następne wykorzystają uczestnicy Zlotu na zwiedzenie miasta, wybrzeża i urzędzeń portowych oraz na krótkie wycieczki morskie.

„Osiedle”

W dn. 14 b. m. w Belwederze u pani Marszałkowej Piłsudskiej odbyło się walne zebranie „Osiedla”, na którym odczytano sprawozdanie z całorocznej jego pracy.

„Osiedle” to komitet opieki nad bezrobotnymi mieszkańcami osiedli miejskich. Istnieje niespełna 6 lat, ma 13 sekcji, stworzyło dotychczas 49 placówek, a mianowicie: 4 kuchnie, 12 świetlic, 7 bibliotek i czytelnicy, 1 szkołę, 1 przedszkole, 4 krople mleka, 4 żłobki, 2 szwalnie, 2 kursy szycia, 4 koła harcerskie, 4 T. P. K., 4 ogródki działkowe, 1 kolonję, 2 ogródki Jordanowskie.

O kolonji letniej i o ogródkach działkowych pisaliśmy już obszerniej w „Bluszczu”. Teraz podamy tylko garść szczegółów i cyfr z działalności poszczególnych sekcji.

Sekcja kulturalno - oświatowa, pozostająca pod kierownictwem p. Janiny Jurkiewiczowej, rozszerzyła w tym roku zakres swej działalności dzięki zwiększonym subsydjom. Liczba świetlic dla dzieci we wszystkich ośrodkach wynosi 9, ogólna zaś liczba zapisanych dzieci — 915. Świetlice te prowadzone są według najnowszych wymagań pedagogiki przez siły wykwalifikowane.

Statystyka obecności w roku bieżącym wynosiła ogółem 50.785 osób. Biblioteki komitetu stale się rozwijają, lecz brak książek wobec ogromnych zainteresowań czytelnictwem (na 5.672 książki, 62.764 czytających!) daje się poważnie odczuwać.

Do pola pracy tej ważnej i ruchliwej sekcji należą również szkoły, przedszkola, drużyny harcerskie i rozdawnictwo choinkowe.

Sekcję higieniczno - lekarską prowadzi dr Felicja Brodzka. Opieka higieniczno - lekarska jest tu prowadzona pod hasłem jak najszerszego popularyzowania

zasad higieny i profilaktyki, prócz porady i pomocy lekarskiej. Siłą faktu agendy tej sekcji wkraczają w życie wszystkich prawie placówek „Osiedla”: żłobków, „Kropki Mleka”, kolonij, półkolonij i t. p. W roku sprawozd. wydano w „Kropki Mleka” ogółem 136.286 i pół litrów mleka, oraz 275.107 porcyj mieszanki po 500 gr.

Sekcji żłobków przewodniczy p. K. Szymańska. W roku sprawozd. komitet prowadził 4 żłobki, przeciętnie 320 dzieci dziennie, dzieciodni — 84.086.

Na jaką skalę praca zakrojona, objaśnia fakt, iż mimo tak niskiego kosztu dziennego utrzymania dziecka (80,80 gr.) wydano na ten cel około 86 tysięcy zł. Bardzo ważną misję zwłaszcza w porze zimowej spełnia sekcja odzieżowa, pozostająca pod kierownictwem p. J. Koralewskiej.

Sekcja ta prowadzi rozdawnictwo odzieży dzieciom, oraz w miarę możliwości ich rodzicom. Z powodu jednak bardzo skromnego budżetu setki próśb i podań musi pozostawać niezadowolonych. Największe i najpilniejsze jest zapotrzebowanie na obuwie, kierowniczką powszechnych szkół nadsyłają moc zgłoszeń, dzieci bowiem z powodu tych braków zmuszone są opuszczać naukę.

Lokal sekcji mieści się przy ul. Leszno 105, telef. 246 - 78.

Komisji ofiar przewodniczy p. Zofja Lewakowska, sekcją dochodów stałych kieruje p. M. Ruppertowa, sekcją dochodów niestałych p. J. Korolewicz - Waydowa.

Sekcja dożywiania, kierowana przez p. S. Kirstową, wydała w roku sprawozd. imponującą liczbę 2.854.915 porcyj.

Sekcja kolonij i półkolonij. Przewodnicząca: p. H. Sujkowska. Ilość dzieciodni na kolonji w Otwocku, wyniosła 50.381, na półkolonji: 24.552.

Prócz troski o zdrowie dzieci, kierowana tu również wielką uwagę na prace wy-

chowawcze. Warunki życia dzieci, branych na kolonję, zarysowują się naogół prawdziwie tragicznie. Mieszkanie: to baraki dla bezdomnych, zarobki rodziców — najczęściej zasiłek Min. Op. Społ. — Mimo to zdołano skonstatować u tych dzieci niejednokrotnie duże walory moralne i wrodzone cnoty społeczne. Starania zatem szły po linii ratowania tych istnień o ile możliwości od czujących na nich ze wszystkich stron niebezpieczeństw każdej natury.

W roku bieżącym została utworzona sekcja ogródków jordanowskich prowadzona przez p. Helenę Chodźkową, oraz sekcja ogrodów działkowych, której przewodniczy p. min. Zofja Carowa, oraz p. min. Helena Bobkowska.

Z wiosną, gdy tereny zostały wymierzone i zaorane, podzielono je na działki po 500 m² i rozdano bezrobotnym. Działek tych było 950. Plonów z nich zebrano ogółem 615.250 kg., ku wielkiej radości i wdzięczności bezrobotnych.

Sekcję pracy prowadzi p. J. Wierzejska. W roku sprawozd. wypłacono za robociznę 48 i pół tysiąca złotych około 100 szwaczkom, podtrzymując w ten sposób nie tylko byt ich rodzin, ale i ducha.

Dużym zainteresowaniem mieszkańców osiedli cieszy się również sekcja wychowania fizycznego, prowadzona przez p. M. Zawodzińską.

Sekretarjat prowadzi p. J. Cholewicka - Podgórska wraz z p. I. Karczową. Sekcję prasową — p. Herminja Naglerowa.

Tyle mówią cyfry.

Dodajmy, że wszystkie członkinie osiedla z panią Marszałkową, jako przewodniczącą, na czele pracują z dużym zapałem i całkowitem oddaniem się sprawie ulżenia doli bezrobotnych i ich dzieci.

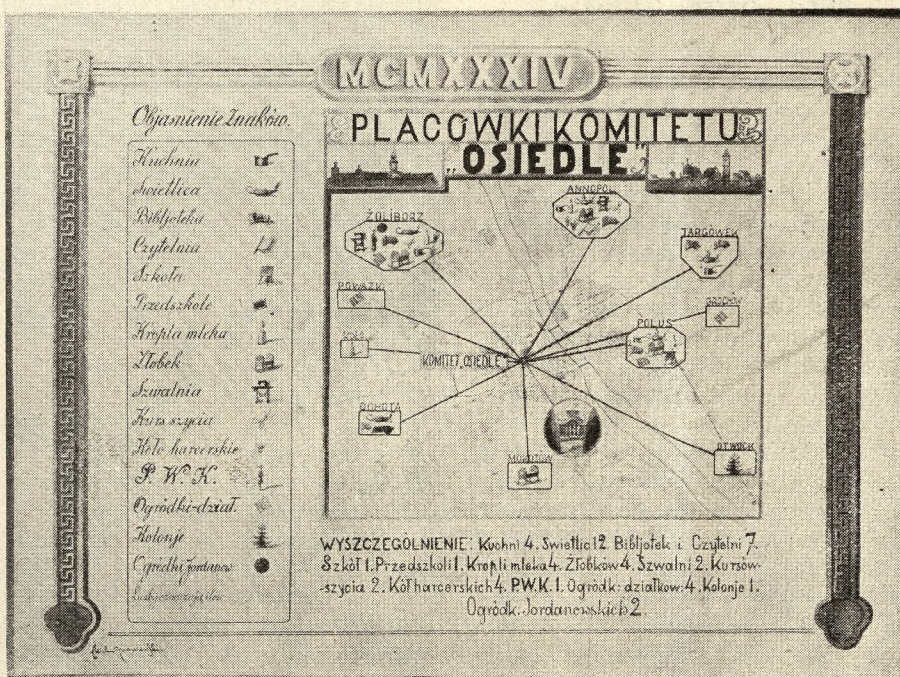
Nasza mównica

MAŁŻENSTWO KOLEŻENSKIE. PRZY- CZYNEK DO DYSKUSJI.

Zaczynając dyskusję na każdy temat związany z zagadnieniami seksualnymi, należy zająć jedno z dwu stanowisk: albo człowiek ma tu coś do powiedzenia, albo nie ma. Jeżeli ma, to zagadnienie seksualizmu jako pewnej vitalnej siły, mogącej sprawić wiele dobrego, ale czyniącej również więcej złego, zależne jest od takiego, czy innego unormowania go przez pracę mózgu i dobrej woli człowieka.

Jeżeli zaś człowiek nie ma tu nic do powiedzenia, to cała ogromna kwestja płciowa pozostaje tylko splotem obrzydliwości narzuconym pięknoduchowi ludzkiemu do kontynuowania w nieskończoność w pewnych ustalonych normach, do kontynuowania pod grozą zatury i zaniku gatunku.

Pierwsze stanowisko dopuszcza wszelką dyskusję i daje nadzieję na jakiegokolwiek możliwe rozwiązanie tych kwestyj; drugie wyrzeka się wszelkiej myśli samodzielnej i każe się bezapelacyjnie podporządkować autorytetowi zewnętrznemu. Oczywiście wszelka myśl reformatorska będzie na tem



Wykres działalności „Osiedla”.

i na wszelkiem innym polu zwalczana bezwzględnie dla samej zasady.

Wiemy aż nadto dobrze, że życie, ten najistotniejszy autorytet dla obiektywnego obserwatora, kazało się wmieszać w kwestje płci innym czynnikiem, niż dotychczas obowiązujące.

Czynniki te to statystyka, to nauka, to mózg logicznie konstruujący fakty, to cała wymowa zdarzeń, wydarzeń i faktów. To wreszcie żywe i bezpośrednie czucie, wchłaniające szerokim oddechem nędzę i niedolę wielu milionów rzesz, przede wszystkim kobiecych, to bezrobocie, to pauperyzacja mas... Ciążący na życiu kobiet stygmat fatalizmu — taki już był los — nieco już dzisiaj rozluźnił swój bolesny chwyt. Obluda oficjalnej moralności, będąca na usługę wiedzących i możnych, zwróciła i ku rzeszom swoją jaśniejszą, ludzką twarz. Nie boimy się, że się małuczy popsują i że się oddadzą w niewolę zmysłów.

Na przykładzie Poradni i na przykładzie pierwszych jej propagatorów, ze wspomnę tylko Boy'a Żeleńskiego, można dokładnie zaobserwować, jaką drogę przebyć musi myśl i żmudna reformatorska praca, by z gąszczu do niemożliwości zakłamanych pojęć seksualnych dobyć najmniejszy, minimalny bodaj okruczyn. Wydaje mi się oto, że i nowe myśli, poszukujące rozwiązań w dziedzinie życia płciowego, będą musiały przejść równie ciernistą i równie bolesną drogę, zanim się z nich wykluje synteza, postulat na nowe życie.

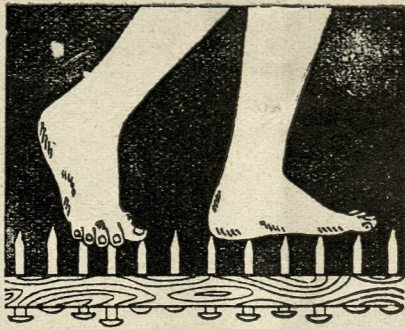
Małżeństwo koleżeńskie. Nie będę się rozwozila nad mankamentami, jakie niewątpliwie posiada dziedzicznie obciążona, obowiązująca nas obecnie forma małżeństwa.

Ograniczę się tylko do stwierdzenia, że obowiązująca moralność połączyła w instytucji małżeńskiej dwa pojęcia niezmiernie szerokie, dla których według niej nie maś pojedynczych dróg. Dwa te pojęcia to rodzina i współżycie płciowe. Obowiązująca moralność nie dopuszcza do głosu życia płciowego poza małżeństwem, a małżeństwa znowuż (gdybyśmy chcieli jej być posłusznymi) nie wyobraża sobie bez rodziny, bez dzieci. Nie znaczy to oczywiście, ażeby współżycie płciowe nie kwitło poza małżeństwem. Na nic się zdadzą pobożne życzenia zimnej wody i sportów.

Zarówno student, jak każdy dorosły chłopak (bo też nie rozumiem, dlaczego w dyskusji bierze się pod uwagę tylko młodzież akademicka) na sprawę płci patrzy prosto, i napewno w 99% abstinencja płciowa jest mu obca i nieznaną.

Można dyskutować, czy i o ile kobiety, — młode dziewczęta (oczywiście nie te — tam prostytutki) wolne są od grzechu przeciwko nakazom tej naszej, jakże często dwulicowej moralności. Szkoda, że jesteśmy do tego stopnia zakłamanymi, że nie możemy tych spraw potraktować z niemi otwarcie i szczerze. Przekonana jestem, że otrzymalibyśmy grubo większy procent, niż nam to mówią anonimowe statystyki, głosy lekarzy i — plotki.

Fakt jest. Współżycie seksualne młodzieży istnieje. Napewno nie jest to wymysł



JAK PO OSTRYCH GWOŹDZIACH

stąpamy obolalemi, odparzonymi stopami po rozpalonym asfalcie, cierpiąc z własnej winy, bo lekceważymy sobie zdrowie nóg. Zgrubiała skóra nóg, odparzenia, nadpotliwość, piekące o ciski, oto objawy zaniedbania nóg. A przecież częste moczenie nóg w ciepłej wodzie z dodatkiem soli Jana przynosi ulgę, przywracając stopom lekkość i sprężystość. Odciski miękają, można je z łatwością usunąć, odparzenia nikną, skóra staje się znowu miękka i elastyczna. Sól do nóg Jana w każdym domu, oto hasło zdrowia nóg.

amerykańskich propagatorów „nowej prostytucji“ ale rzecz zupełnie aktualna, a w naszych warunkach mniej tylko jaskrawa, mniej widoczna.

A teraz środki zaradcze, że tak powiem klapy bezpieczeństwa.

Mądry konserwatysta jak go nazywa B. Russel — Ben Lindsey mówi: małżeństwo koleżeńskie. Poza doświadczeniami Rosji Sowieckiej nie padł dotychczas żaden inny projekt. Należałoby się więc nad tym jednym nieco zastanowić.

Gdyby tak można było sobie wyobrazić, że małżeństwo koleżeńskie zostało prawnie uznane, że stało się obowiązujące, prawdopodobnie zmalełyby wszelkie obiektywy (może rozpląnęłyby się w zaprzeczeniu ich przez życie), jakie oto nasuwają się ludziom dobrej woli, usiłującym bez zaciętrzewienia myśleć o tej sprawie. Bo obiektywy są. Jest cały splot różnych „gdyby“ zaciemniających obraz i wysuwających kontra.

Moje obiektywy dotyczą kobiety w owym małżeństwie koleżeńskim. Takie bo mam obawy, czy iluzja słowa „małżeństwo“ nie dałaby kobiecie sankcji do tworzenia gniazda.

Jej zdradliwa psychologia, jej biologicznie już odziedziczona bierność czy nie stworzyłaby dla niej z małżeństwa koleżeńskiego pułapki? Czy małżeństwo koleżeńskie nie grzebałoby zbyt często ambicjami kobiecych, dążąc do pracy nad sobą, ochoty do dalszych studjów? Czy zapoczworzona w atmosferze ciepła życia we dwoje kobieta nie rezygnowałaby zbyt często ze swoich wlotów człowieczych na rzecz — jego, wiecznego mężczyzny. Nie wiem, właśnie się pytam.

Nie byłoby tych obiektyw, gdyby kobieta umiała kochać i współżyć cieleśnie jasno i niefrasobliwie, wzorem mężczyzny.

Wiadomo jest jednak, że nie umie, nie została do tego ani wychowana przez stulecia, ani zdaje się stworzona. Obawiam się więc finału każdego takiego małżeństwa, boć mogą być także i nietrwale.

Dalsze zastrzeżenia natury ekonomicznej. Otóż Lindsey uważa, że życie we dwoje wcale nie kosztuje drożej, niż życie każdego z dwojga oddzielnie — i że student pracuje lepiej, mając potrzeby codziennego użytku ustabilizowane i znormalizowane.

Czysty zysk więc, cudowna instytucja. Tak, ale dla studenta. Prawdopodobnie nieco inaczej przedstawiałby się ten zysk w pracy i czasie dla drugiej strony, dla studentki.

Nic nie mówię, o ile fundusze na utrzymanie młodych płyną z kalety rodzicielskiej. A jeżeli nie? Mąż pracuje nad sobą, a żona pracując też nad sobą, pracuje też dla niego. Chyba, że znów jest bardzo nowoczesnie i odpowiednio wychowany mąż dzieli kłopoty gospodarskie z żoną. To się zdarza dość często i w naszych starych, poczciwych małżeństwach, dlaczego więc nie?

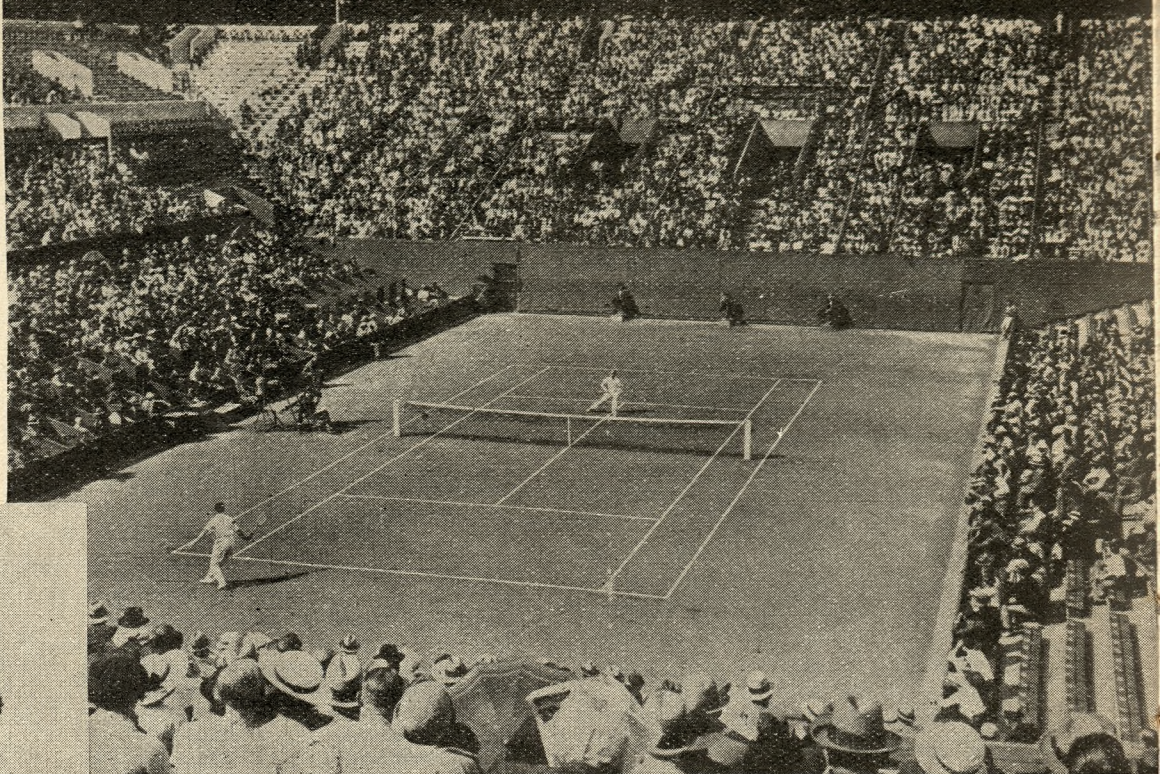
Sam projekt małżeństwa koleżeńskiego jest humanitarny, piękny i wypływający z najszlachetniejszych pobudek. Niech jednak medycyna wymyśli wprawdzie stuprocentowo pewny środek przeciwko ciąży. Bez tego niech się nie waży żaden prawodawca myśleć o projekcie prawa małżeństwa koleżeńskiego. Tu bowiem leży pointa zagadnienia — oddzielenie pojęcia współżycia płciowego od ciężkiego i odpowiedzialnego zadania, któremu na imię rodzina.

Na zakończenie zaś jedno mam pytańko. Jakże będzie „wtedy“ z redukcją mężatek? Czy określimy granice wieku, od której w górę mężatka będzie zwalniana? Czy może mężatka z dzieckiem? Chyba, że w papierach osobistych każdej pracującej kobiety zamężnej będzie odnośna rubryka: mężatka zwykła i mężatka koleżeńska. To ułatwi orientację naszym redukologom.

Wera Tropaczyńska-Ogarkowa.



Kobieta w świecie i w domu



W SEZONIE TENNISA.

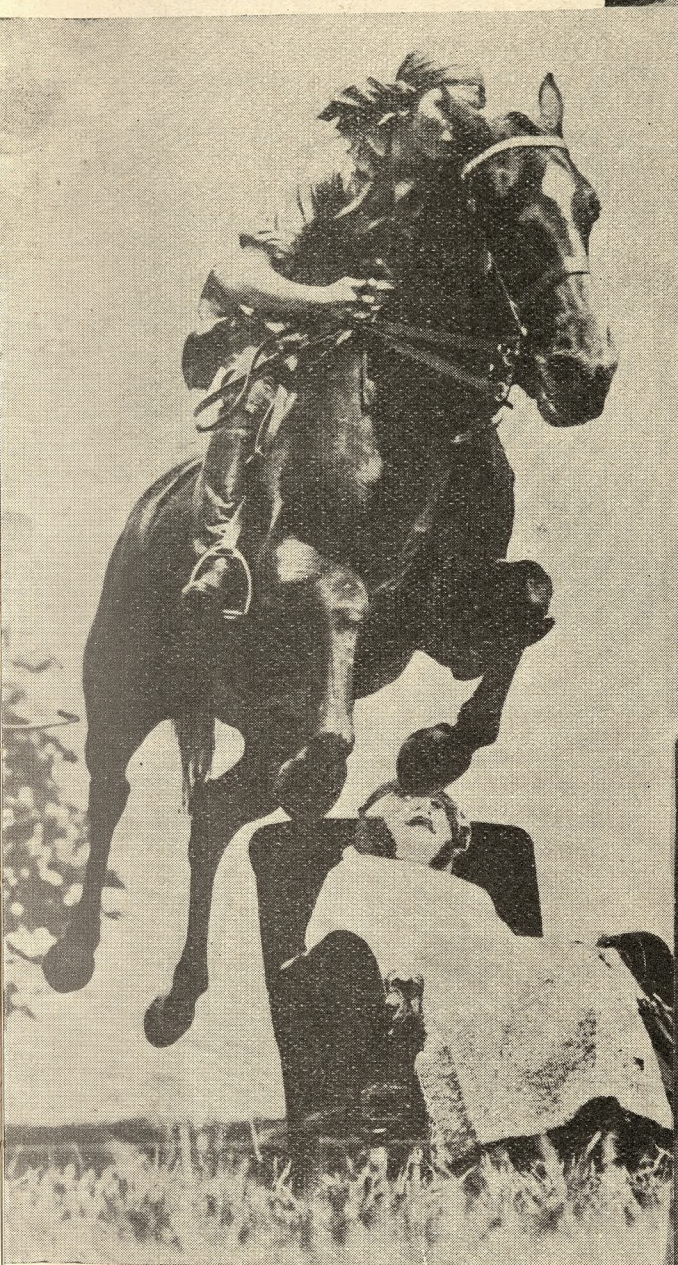
Tak wygląda międzynarodowy mecz tenisowy na specjalnym korcie w Paryżu.

WYPRAWA ŚLUBNA ZA 2 MILJONY FRANKÓW.

Ważnym wydarzeniem towarzyskiem w Tokio był niedawno ślub córki tamtejszego bogatego przemysłowca, którą zaślubił założyciel jednego z wielkich magazynów w stolicy Japonji. Wyprawa ślubna panny młodej kosztowała 2 miliony franków. Widać z tego, że zamilowanie do zbytku nie zanika w Japonji.

NIEMKA I ANGIELKA JAKO WSPÓLZAWODNICZKI W TENNISIE.

Na zdjęciu widzimy dwie współzawodniczki: Niemkę Cilly Aussem (na lewo) i Angielkę Miss Stammers, zdążające na decydującą walkę w tenisie, która przyniosła zwycięstwo Niemce.



SKOK PRZEZ LALKĘ W FOTELU.

Na zdjęciu widzimy trudny moment treningu, jaki przechodzą młodociane członkinie Hunt-Clubu w Cheltonham w Anglii. Młoda i dzielna amazonka skacze przez fotel, na którym siedzi manekin naturalnej wielkości.



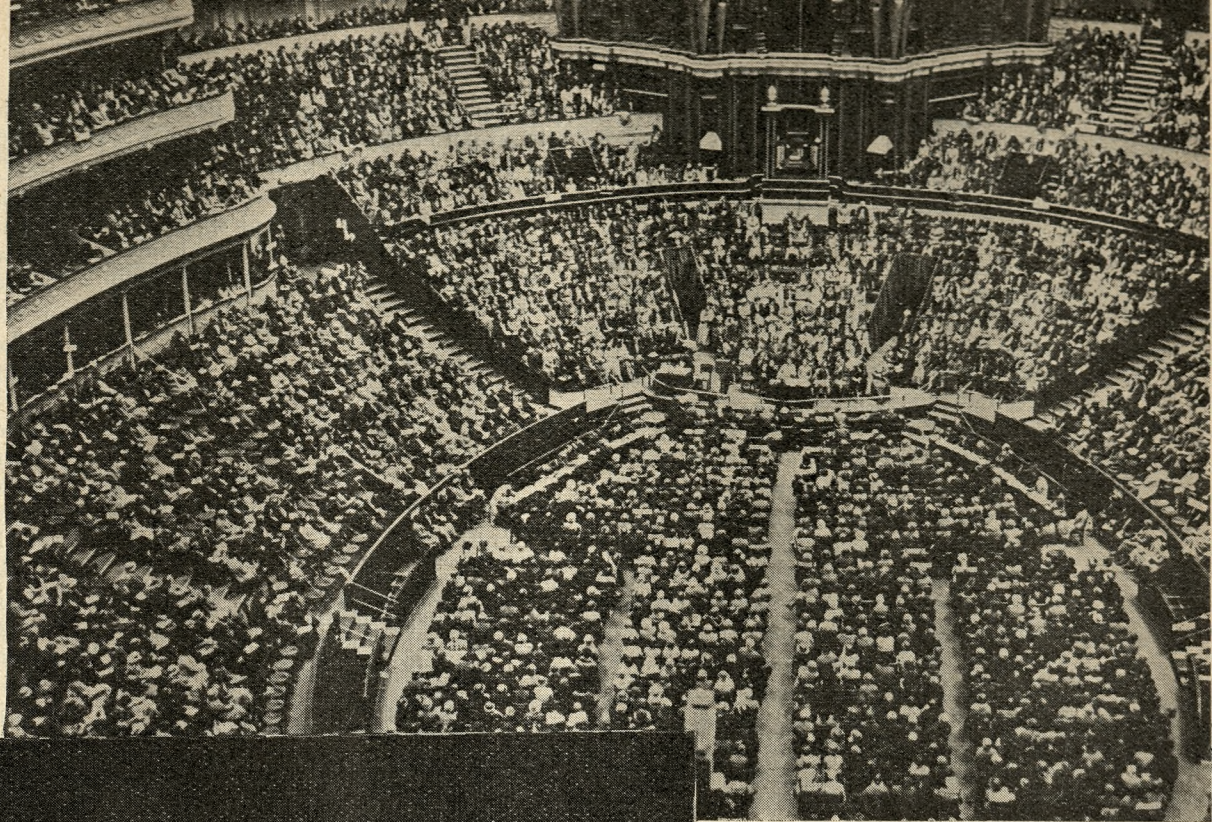
BELGIJKI W SAMORZĄDZIE.

W radach miejskich w Belgji jest 171 kobiet radnych, 13 kobiet burmistrzami, 14 ławnikami, 16 sekretarzami magistratów, 50 poborcami podatków.

Belgijki doceniają znaczenie samorządów w życiu gospodarczym kraju. Charakterystyczną rzeczą jest jednak, że w parlamencie zasiadają tam tylko dwie kobiety: 1 posłanka i 1 sekretarka, obie socjalistki.

KOBIECA SZERMIERKA W NIEMCZECH.

Tak wygląda zastęp niemieckich szermierzyń, biorących udział w turnieju w królewskim Lustgartenie.



GIGANTYCZNY PARLAMENT KOBIECY.

Kobiety, uczęszczające do pięciu tysięcy instytutów kobiecych w Anglji, zbierają się corocznie w olbrzymiej sali króla Alberta, celem omówienia wspólnych spraw i powzięcia stosownych wniosków.

TRUDNA POZA.

A m e r y k a ŋ s k i malarz Frank Johnson Taylor postawił sobie za zadanie namalować portret śmiałej jeźdźczyny Ethel Dextreaux na jej siwym wierzchowcu „Blondy”. Poza, jaką widzimy na fotografii, nadaje się raczej do migawkowego zdjęcia.

KOBIECE ARMJE REZERWOWE W ANGLJI.

Na zebraniu organizacyjnym w Central Hall w Londynie postanowiono utworzyć nową organizację „Kobiecą armję rezerwową” w celu niesienia pomocy władzom i armji wewnątrz kraju na wypadek wybuchu wojny lub zamieszek wewnętrznych. Organizacja ma być umundurowana. Ćwiczenia obejmą służbę z bronią w ręce oraz obronę przeciwgazową.



Kącik radjowy

2500 ZŁOTYCH NAGRODY W KONKUR-
SIE RADJOWYM.

„Polskie Radjo“ ogłosiło konkurs na najlepsze słuchowisko radjowe. Warunki konkursu podane były w czasie audycji, powtarzamy je obecnie jeszcze raz, gdyż mogło się zdarzyć, że wielu z zainteresowanych tym konkursem nie słuchało jej. Scenarjusz słuchowiskowy może mieć charakter tragedji, dramatu czy komedji pisanej prozą. Utwór ten należy złożyć w pięciu egzemplarzach maszynowego pisma w Dyrekcji „Polskiego Radja“ w Warszawie, czas wykonania utworu od pół godziny do godziny maximum. Autor na egzemplarzach winien umieszczać tylko godło, nazwisko zaś wewnątrz koperty. Za najlepsze utwory „Polskie Radjo“ przewiduje nagrody: I — 800 zł., II i III — po 500 zł., III i IV — po 350 zł. Łączna suma nagród wynosi 2500 złotych. Utwory konkursowe należy nadsyłać do dnia 1 października 1934 r., ogłoszenie wyniku nastąpi 1 stycznia 1935 r. Ne czele jury stoi prezes Polskiej Akademji Literatury p. Wacław Sieroszewski.

NOWY CYKL ODCZYTÓW RADJOWYCH.

Kultura artystyczna w Polsce, kultura intelektu, poziom wszelkiej sztuki i odświętnego obyczaju — jakże są wysokie, subtelne i wypracowane. Natomiast bynajmniej nie harmonizuje z niemi kultura życia codziennego domu, wnętrza, ulicy i obyczaju dnia powszedniego.

Umiemy urządzać wspaniale uroczystości — na codzień, dla siebie, żyjemy byle jak. Marzy się i mówi o monumentalnej stolicy, tymczasem wszyscy codziennie zaśmiejemy ją, czem możemy, a co zamożniejszy z pośród nas buduje sobie w jej obrębie dom czy domek, które swą potwornością czynią Warszawę najbrzydszem z miast polskich. Posiadamy świetną organizację wychowania fizycznego, ale niesłychanie małe zużycie mydła. Po wielkomiejskich cukierniach siedzą setki kobiet ubranych jak królewny z bajki, ale zajrzyjmy do mieszkań tych dam. Zaduch, graty, brudne okna, kartofle w wannie. Więc królewna czy „kocmołuch“?

Nieznośna dysproporcja między wystawą a kulisami, między życiem na pokaz a życiem dla siebie — oto cecha naszej obyczajowości, jednocześnie wyrafinowanej, a barbarzyńskiej, jednocześnie odświętnej kulturalnej, a pozbawionej kultury życia codziennego.

A nasze wywczasy letnie, które pokrywają cały kraj siecią pensjonatów, gdzie prymityw i niechlujstwo walczą o lepsze z reklamą i cenami. A hoteliki małych miasteczek, a bufety kolejowe, bufety w klubach sportowych i na statkach wiślanych. A śmietniki przy końcowych przystankach kolejowych, a wygląd toalet publicznych. Zgroza. Nie umiemy gospodarować, nie cenimy sobie codzienności, wśród której upływa nasze życie. A przecież trochę le-

piej zarządzić drobiazgami, ileż wartości i uroku nabierze odrazu dzień powszedni. Jakże inaczej wyglądać znacznie nasz kraj i jego ludzie.

O tej ważnej i aktualnej sprawie mówić będzie przez radjo w sezonie letnim p. Stanisława Kuszelewska - Rayska, publicystka i działaczka społeczna. Cykl feljetonów p. t. „Kultura codzienności“ obejmie sześć pogadanek, które wygłaszane będą począwszy od dnia 27 czerwca w środę o godz. 18.45 do godz. 18.55. Cykl dzieli się na trzy części po dwa odczyty, które kolejno obejmą zagadnienia związane z kulturą domu własnego, domu cudzego i domu wspólnego. W pogadankach p. t. „Dom własny“ p. Kuszelewska-Rayska omówi kulturę mieszkania, ubrania, jedzenia, ogródka, kulturę języka dorosłych przy dzieciach, pokoje służby i t. p. Dwie następne pogadanki o Domu cudzym zawierają będą uwagi o poczekalniach, cudzych schodach, bramach domów, listach bez odpowiedzi, książkach pożyczonych, o dzieciach na imieninach i innych sprawach z zakresu „Moja pani, moja pani!“. Ostatnie dwie pogadanki, poświęcone naszym wspólnym domom, jak hotelom, dworcom, wagonom, tramwajom, taksówkom, ogrodom publicznym i t. p., rzucą kilka myśli o konieczności prowadzenia pierwiastka kulturalnego tam wszędzie, gdzie ludzie zmuszeni są wspólnie przebywać.

CZEGO KOBIETY SŁUCHAJĄ NAJCHE- TNIEJ? PO 100 ODCZYTACH RADJO- WYCH ZE STUDJA WIEDEŃSKIEGO.

Przed kilku dniami radjo wiedeńskie obchodziło taki „mały jubileusz“; dział odczytowy rozgłośni centralnej „Ravagu“ zamknął w tym dniu duży cykl stu odczytów w jednym tylko Dziale Kobiectym.

DZIESIĘĆ RAZY W TYGODNIU.

Z okazji tej setki odczytów damskich kierownik działu dr. Huggenberger wy-

powiada na łamach prasy austriackiej ciekawe uwagi o zamiłowaniach radjosluchaczek austriackich.

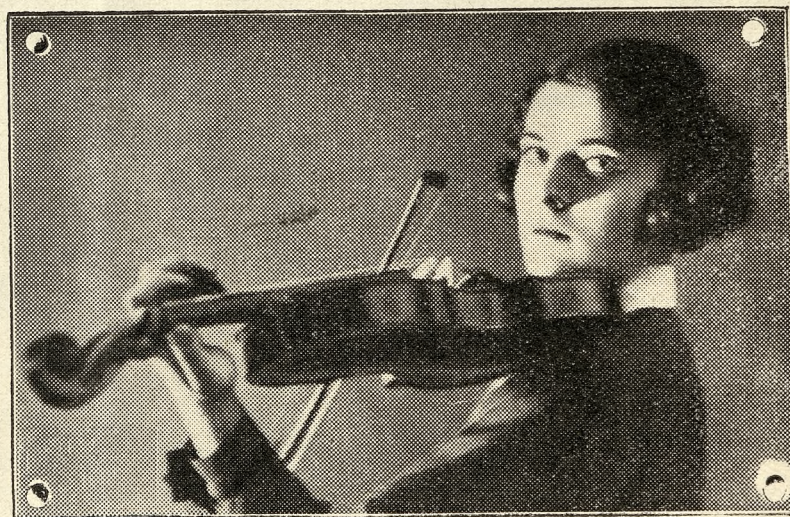
Ciekawym szczegółem organizacyjnym działu jest, że wypowiadają się tu prawie wyłącznie kobiety, a nazwiska prelegentek nie są ogłoszone, albo podawane w kryptonimach.

Powowiada dr. Huggenberger — aczkolwiek zasypywani jesteśmy przez radjosluchaczki prośbami o podanie nazwisk i adresów wielu prelegentów. I nie wiem, czy ulegniemy namowom, albowiem praktyka dotychczasowa pokazała, że odczyty zyskują na popularności, słuchane przez panie bez uprzedzeń, bez przesądzania zgóry, że odczyt będzie nieciekawym, gdyż wygłosić go ma nie lubiana, niemila, za młoda, farbowana, kokietka..., a zresztą, czy podobna wyliczyć tu wszystkie epitety, które „serdeczne przyjaciółki“ okładają się wzajemnie. Dzięki temu nadajemy z powodzeniem 5 razy w tygodniu po 2 do 10-cio minutowe odczyty dzienne“.

TEMATY WŚRÓD SŁUCHACZEK NAJ- POPULARNIEJSZE.

„Nie przesadzę — pisze dalej dr. Huggenberger — jeśli powiem, że tematem najpopularniejszym z pośród poruszanych przed mikrofonem, jest kuchnia. Kuchnia — to środek ogniska domowego, a ognisko domowe, to treść posłannictwa każdej kobiety .

Popularność tych odczytów jest tak duża, że musiano czas nadawania rozszerzyć. I tak klasa zamożniejsza słucha odczytów gospodarskich od 11.50 do 12.00. Dla skromniejszych gospoń, zajętych niemal cały dzień w kuchni, gdzie trudno jest jednocześnie gotować i operować słuchawkami (tam, gdzie nie można sobie pozwolić na odbiornik lampowy z głośnikami), odczyty z gospodarstwa domowego nadawane są o 15.20.



Eugenia Umińska, wybitnie utalentowana skrzypaczka polska, mająca już poza sobą szereg sukcesów na estradach zagranicznych jak i polskich, często występuje w radjo na koncertach symfonicznych.

Ogrodnictwo i hodowla

LIPIEC W OGRODZIE

Nie dopuszczać do rozszerzania się zielska. Tępić je *ręcznym pieleciem, motyką lub planetem* (nieocenne narzędzia w gospodarce ogrodowej) ręcznym lub konnym, zapatrzonymi w nożyki lub kosiaki. Nie dopuszczać, aby ziemia zeskorupiała i po każdym deszczu lub silnym podlaniu wzruszać ją starannie.

Po skończonym zbiorze *szparagów* pokryć ziemię dobrze przegnitym nawozem przed rozrzuceniem wałów. Wszystkie czynności przy szparagach wykonywać ostrożnie, aby nie uszkodzić przebijających pędów. Obfitość ich rokuje jedynie dobre plony na rok następny.

Chcąc racjonalnie prowadzić *podmory*, należy co 2 — 3 tygodnie przeglądać je, usuwając nadmierną ilość pędów i wszystkie wypustki, wychodzące z kątów liści na pozostawionych pędach. Obciążone owocem gałęzie przywiązywać do mocnych palików i wiązać, co jakiś czas sprawdzać.

Powtarzać *siew fasoli* na zbiór zielonych strąków, *szpinaku, salaty, rzodkiewki* i t. d. na jesienne zbiory.

Wszelkie opróżnione grzędy natychmiast skopać głęboko, zasilać nawozem.

Na *różach kalafjorów* załamywać liście, aby nie zieleniały.

Tępić wszelkie *liszki i mszyce*, gdziekolwiekby one bytowały. Jeśli chodzi o małe przestrzenie, to polecić można przede wszystkim ręczne obieranie jajek i maleńkich liszek, dopóki one są jeszcze małe i żyją w gromadzie. Tam, gdzie ręczne obieranie byłoby zbyt kłopotliwe, trzeba się wziąć do *rozpylania* na warzywniku i w sadzie różnych *cieczy żrących*, które zabijają szkodniki, nie czyniąc jednak krzywdy samym roślinom.

Ziemia między drzewami w sadzie powinna znajdować się w stanie jak największej *pulchności*.

Jeżeli więc między drzewami i krzewami nic nie uprawiamy, to należy ziemię sprężynować, wzruszając w ten sposób zasklepioną jej powierzchnię. Naokoło pni trzeba wzruszenia dopełnić ręcznie, posługując się widłami amerykańskimi.

Na pniach drzew zakładamy *opaski ze słomy lub mchu*. Opaski te trzeba co kilka dni przeglądać i zmieniać. Gromadzi się w nich bowiem wiele różnych, przeważnie szkodliwych dla drzew owadów. Opaski te zdejmujemy ostrożnie i palimy razem z zawartością.

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERE



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i urok młodości, usuwa wagi, pryszcze i zmnarszczeni oraz odtłuszcza skórę.



W początkach lipca rozpoczyna się zbiór *porzeczek, malin, agrestu*, a w końcu tego miesiąca pierwszych *jablek, wczesnych moreli, brzoskwiń i wiśni*. Owoców nigdy nie należy zbierać natychmiast po deszczu.

Po ukończonym zbiorze *truskawek* oczyszczamy plantację, zasilać ją nawozami naturalnymi lub sztucznymi, usuwając stale wąsy, pozostawiając jedynie ich tyle, ile będzie potrzebne do założenia nowych grządek. Stare, wyowocowane trzyletnie plantacje zaorywujemy lub przekopujemy, nie sadząc oczywiście nowych w tym samym miejscu.

W szkółce rozpoczynamy *oczekowanie dziczek*. Koniec lipca to najodpowiedniejsza pora do wysiewu takich kwiatów jak: *bratki, stokrotki, malwy, fiołki, niezapominajki* i t. p.

Oczkować dalej *dziczki róż* w martwe oczko. Pleć rabatki, kwietniki, nie dopuszczać do zachwaszczenia *trawników* i często je kosić, podlewać w czasie suszy. Tylko przy wielkiej i starannej pielęgnacji trawnik ścięte się aksamitnym szmaragdowym kobiercem. Obcinać kanty trawników, gracować i grabić ścieżki. Wzruszać zeskorupiałą ziemię i, o ile potrzeba, podlewać i zasilać nawozami płynnymi.

Kwiatostany przekwitłe usuwać, aby roślina wydawała więcej nowych.

Romiszewska.

KWIATY POKOJOWE W LIPCIE

Sadzić do małych doniczek ukożenione sadzonki flancowanych roślin pokojowych.

Pikować siewki *primul, cynerarji, pantofelników*. O ile były one już

raz przepikowane i są dobrze zakożenione, można je sadzić do pojedynczych doniczek.

Robić sadzonki, aby dobrze się przed zimą zakożeniły.

Rośliny, umieszczone na powietrzu, zwykle same dają sobie radę z pasorzytami, ale spędzające lato w pokoju często opanowuje mszyca.

Walczyć z niemi trzeba uporczywie i stale. Pomaga, zwłaszcza w początkach, gdy pasorzyty nie miały jeszcze czasu zbyt się rozmnożyć, *szprycowanie letnią wodą*.

W razie, gdyby ich było dużo, chcąc roślinkę uratować od zguby, należy je obierać ręcznie przy pomocy drewnianka. Po tej operacji zaś przesprycować odwarem z machorki, ewentualnie zastosować kadzenie.

Marja Dąbrowa.

PRZESYŁKA KWIATÓW CIĘTYCH

Aby kwiaty cięte dały się przetrzymać przez czas dłuższy i wytrzymały podróż, muszą być przede wszystkim odpowiednio zerwane i odpowiednio zapakowane.

Racjonalnie zbierane kwiaty muszą być cięte we właściwej porze, w odpowiedni sposób i w odpowiednim momencie swego rozwoju. Rozpoznanie stadium rozwoju, w którym kwiat powinien być ścięty, wymaga znajomości jego natury. Są kwiaty, które mają dar rozwijania w wodzie całkowicie wykształconych już kielichów, te muszą być zrywane w momencie, gdy kielich zaledwie zaczyna się rozchyłać, inne, które tej zdolności nie posiadają, powinny być ścinane w chwili, gdy kielich jest już rozarty, ale w pierwszym stadium tego rozwoju z kwiatów przekwitających nigdy poaciechy nie będzie i takie lepiej na krzaku pozostawić.

Nigdy nie należy ścinać kwiatów w czasie *operacji słonecznej*, gdyż wtedy są one zmęczone skwarem i szybko zamierają. Do zbioru najlepiej przystąpić bardzo rano, nim jeszcze rosa nie obeschnie, lub też o zmroku, kiedy zdążą się już otrząsnąć ze skwaru dnia.

Najlepiej jest ścinać kwiaty w ten sposób, aby je natychmiast pakować i wysyłać, a jeśli to niemożliwe, to trzeba każdą pojedynczą łodygę owinać w mokre płótno lub wilgotną watę możliwie jak najwyżej i wynieść do zimnej piwnicy. Kwiaty, przetrzymywane w wodzie, nie nadają się do przesyłki.

Przesyłkę kwiatów uskutecznią się, pakując je możliwie jak najściślej w płaskie koszyczki, pudełka lub łubianki. Puste miejsca należy wypełnić miękkimi skrawkami bibułki. Chodzi bowiem o to, aby kwiaty nie odczuwały wstrząsów podróży.

Najlepiej dochodzą kwiaty pakowane jedną warstwą, jeśli to niemożliwe, to poszczególne warstwy oddzielamy od siebie arkuszem sztywnego papieru i ścinkami papieru.

Każda łodyga powinna być owinięta w płótno lub watę, a każdy kielich powinien być owinięty w bibułkę, której nie należy moczyć.

Tak pakowane kwiaty dochodzą zdrowo i cało na miejsce przeznaczenia, gdzie powinny być jak najszybciej rozpakowane i zanurzone w zimnej wodzie po kielichy, aby sobie odpoczęły. Orzeźwione taką kąpielą, w której powinny spoczywać 2—3 godzin, odzyskują kompletną świeżość, aby cieszyć nas swą krasą.

Marja Dąbrowa.

TEPIENIE ROBACTWA W OGRODZIE

Rośliny uprawne posiadają w świecie owadów niezliczonych nieprzyjaciół. Nieraz drzewa zostają prawie doszczętnie ogołocone z liści przez liszki lub chrabąszcze, z pięknie zapowiadającej kapusty zostają tylko gałęzy. Na różach i innych krzewach bytuje również wiele liszek, które niesłychanie szybko niszczą najpiękniejsze nieraz egzemplarze. Śliczne rabatki nasturcji są również ulubionym siedliskiem liszek, potrafią one nietylko objeść całe roślinki, ale obrzydzić nam swoim wyglądem te kwiaty raz na zawsze.

Dlatego też ogrodnik musi bezustanku stać na straży hodowanych roślin i chronić je przed *plagą liszek*. Środków walki z nimi jest dużo, przedewszystkiem tak należy uprawiać rośliny, aby one były silne i zdrowe, wtedy straty muszą być mniejsze, bo nawet uszkodzona roślina przychodzi prędzej do siebie. Dalej należy zbierać i niszczyć jajka, które owady składają zwykle gniazdami. Niszczyć młode świeżo wylęgnięte liszki, dopóki siedzą jeszcze w gromadzie. Oba te sposoby jednak są zwykle niewystarczające i pochłaniają masę czasu, przez co na większych przestrzeniach nie dają się zastosować.

Do najlepszych sposobów tępienia szkodliwych owadów na warzywnikach i w sadach należy opryskiwanie roślin odpowiednio przygotowanymi cieczami żrącymi,

które, zabijając żerującego szkodnika, nie sprawiają jednak żadnej szkody samej roślinie.

Do tego jest jednak konieczny potrzebny rozpylacz, gdyż bez niego nic się tu nie da zrobić. Roślina bowiem nie powinna być obłana płynem tak, aby on po niej ściekał, a jedynie możliwie dokładnie opylona drobnymi kuleczkami pyłu wodnego. Osiąga się to tylko wtedy, gdy płyn z rozpylacza zostaje wyrzucony z dużą siłą i gdy wylot rozpylacza znajduje się w pewnej odległości od opryskiwanych roślin, gdyż jedynie wtedy wytryskujący prąd cieczy może się doskonale rozbić na gęstą a drobną mgiełkę, która dokładnie osiada i zatrzymuje się na liściach.

Opryskiwanie roślin należy uskutecznić o ile możności w dzień suchy i gorący, chodzi bowiem o to, aby trucizna od razu na liściach przyschła. Liszki, zjadając zapyłone liście, trują się same i opadają na ziemię.

Pamiętać należy, iż owe cieczy używane do tępienia owadów są również szkodliwe dla ludzi. Pod żadnym pozorem nie należy opryskiwać tych roślin, które są przeznaczone do natychmiastowego spożycia.

O ile jednak od czasu ostatniego opryskania do chwili zbioru upłynęło przynajmniej dwa tygodnie, to trucizna zdażyła już z liści zniknąć, zmył ją deszcz, wywiały wiatr, osypała się i po tym okresie warzywa mogą być spokojnie spożyte. Pamiętać należy, iż otrute liście są szkodliwe zarówno dla ptactwa śpiewającego, jak i dla drobiu, więc drób trzeba zamknąć na kilka dni, a ptactwo warto trochę przepłoszyć, stawiając t. zw. „strachy”.

Do trucizn najczęściej stosowanych u nas do tego celu należy przedewszystkiem zieleni paryska, albo inaczej szwejnfurtska. Płyn ten to silna trucizna i przygotowuje się go przez zmieszanie w odpowiedniej proporcji zieleni paryskiej, wapna, kleju i wody.

Roztwór ten stosownie do potrzeb można robić silniejszy lub słabszy. Rośliny młodsze o liściach wiotkich należy opryskiwać roztworem słabszym, starsze i mniej wrażliwe mocniejszym.

Do opryskiwania *drzew pestkowych* jak: *czereśnie, wiśnie, brzoskwinie, morele, śliwy, maliny i wszelkie rozsady* bierzemy na 100 l. wody: 60 — 80 gr. zieleni paryskiej i 18 — 24 dk. wapna.

Do *opryskiwania jabłoni i grusz* bierze się na 100 l. wody — zieleni paryskiej od 100 — 120 gr. i wapna od 30 — 36 dkg.

Do opryskiwania winorośli, drzew i krzewów ozdobnych i kapusty na 100 l. wody bierze się zieleni pa-

ryskiej od 150 — 200 gr. i 45 — 60 dkg wapna niegaszonego.

Roztwór zieleni paryskiej przygotowuje się w następujący sposób: najpierw trzeba przygotować gęsty roztwór czystej zieleni. W tym celu bierze się stosowną ilość proszku tej trucizny i w oddzielnym naczyniu miesza się, dolewając wodę do zieleni, a nie odwrotnie, boby się potworzyły grudki, rozrabia się łyżką ów proszek na gęsty płyn mniej więcej o konsystencji gęstej śmietany. W dużej beczce przygotowujemy oddzielnie mleko wapienne, zalewając niegaszone wapno z początku niewielką ilością wody, a gdy się ono rozsypie na proszek, dodajemy wody aż do 100 l.

Wreszcie w trzecim naczyniu rozrabiamy nieco mąki na klej. Dodatek kleju do płynu powoduje większą przyczepność zieleni do liści i większą skuteczność. Gdy już wszystkie płyny są gotowe, mieszamy je dokładnie razem i wlewamy przez sitko do rozpylacza. Wszystkie czynności z zielenią wykonywamy w naczyniu szklanym, emaljowanym lub polewanym, a pod żadnym pozorem nie w miedzianym lub drewnianym.

Zieleni na ciasto rozrabiać najlepiej łopatką drewnianą, którą po użyciu trzeba spalić. Beczki, służące do przyrządzenia cieczy, nie można używać do niczego innego, chyba do przyrządzania cieczy *bordowskiej*.

Tam, gdzie sady cierpią od grzybka tworzącego czarne plamy na liściach i owocach, jednocześnie opryskujemy drzewa cieczą *grzybobójczą*. W tym wypadku zamiast wody używamy *cieczy bordowskiej*.

Najpierw w drewnianym naczyniu rozpuszczamy 1 kg. siniego kamienia t. j. siarczanu miedzi w 10 l. gorącej wody; w drugim większym naczyniu drewnianym przyrządzamy mleko wapienne z 1 kg. wapna niegaszonego i dolewamy 90 l. wody; w trzecim naczyniu przyrządzamy papkę z zieleni paryskiej. Następnie wlewamy do mleka wapiennego najpierw roztwór siarczanu miedzi a potem potrochu dodajemy papki z zieleni paryskiej i mąkę rozrobioną, mieszając przytem wszystko dokładnie.

Płynem tym trzeba opryskiwać nietylko liście, lecz i całe drzewa. Koszt przyrządzenia tych cieczy jest minimalny, bo wapno to jest wydatek groszowy; 1 kg. zieleni paryskiej kosztuje 8 zł. 30 gr., a 1 kg. siarczanu miedzi 1 zł. 20 gr., a 100 l. płynu można przy pomocy rozpylacza opryskać spory kawał warzywnika lub 20 drzew owocowych.

Marja Dąbrowa.

WYRÓB ŻELATYNY

Lat temu 40 każdy prawie dwór wiejski a nawet większy dom w małym mieście prowadził gospodarstwo samowystarczalności i starał się możliwie jak najwięcej rzeczy wyrabiać we własnym zarządzie. Było to uważane za zupełnie normalne, potem w miarę postępu kultury wyszło to ze zwyczaju, bo się poprostu przestało opłacać, fabryka robiła to lepiej i taniej.

Ale dziś, gdy kryzys wyciska ostatni grosz z kieszeni, t. zw. „pierwotna“ gospodarka zaczyna znów święcić triumfy. I tak w wielu domach wiejskich wyrabiają sami cukier, który wprawdzie nie dorównywa kupnemu, ale koszt jego jest niepomernie mniejszy, bo sięga zaledwie 20 — 60 gr. za 1 kg. do t. zw. użytku kuchennego doskonale się nadaje. To samo dotyczy mydła i krochmalu, których się dawniej nikomu nie opłacało gotować w domu, a dziś robota ta doskonale wytrzymuje kalkulację. Ale może najbardziej „opłatny“ jest wyrób żelatyny w domu, której kilo w Warszawie kosztuje 10 — 12 zł. a w prowincjonalnych sklepikach kupowana na dekagramy dochodzi do 20 gr. za 1 gram, czyli do 20 zł za 1 kg. Jest to cena szalona zwłaszcza, że żelatyna głównie w lecie jest w kuchni ciągle potrzebna i idzie jej stosunkowo dosyć dużo.

Gospodarstwa wiejskie, mające pod dostatkiem śmietany i owoców, które notabene często trudno spieniężyć, potrzebują jej stosunkowo jeszcze więcej.

„Gospodarski“ wyrób żelatyny nie jest wcale trudny, a jedynie bardzo pracowity i wymagający drobiazgowej dokładności.

Żelatynę wyrabia się z kości i skórki cielęcej doskonale oczyszczonej z sierści. Potrzeba do tego dużo rąk, bo to wielka robota, oraz sporo opału, ale tam, gdzie pali się własnym torfem lub drzewem, to sprawa ta nie gra zwykle zbyt dużej roli.

Sama technika wyrobu żelatyny przedstawia się następująco: świeżą skórkę i nóżki zabitego cielęcia oczyścić z sierści przez parzenie wrzątkiem i zeszkrobowanie nożem, a następnie wymyć doskonale w gorącej wodzie, zmieniając trzy razy. Następnie trzeba to namoczyć w wodzie zimnej, najlepiej bieżącej, na przeciąg 6 godzin, a jeśli to niemożliwe, trzeba co godzinę wodę zmieniać.

Woda powinna skórkę doskonale rozmiękczyć, aby napęczniała aż do zwiększenia swej grubości przynajmniej dwukrotnie. Wymoczoną skórkę należy pokrajać na długie paski 2 cm. szerokości, a z nóżek odrzucić dużą środkową kość, włożyć do dużego sagana i zalać wodą, postawić na ogniu, raz zagotować. Oblać wodą, skórkę i nóżki raz jeszcze wymyć i starannie odjąć żółtą błonkę, która po zagotowaniu gdzieś się jeszcze pokaże.

Czystą zupełnie skórkę zalewa się znów zimną wodą i gotuje na bardzo wolnym ogniu, szumując pracowicie. Od należytego wyczyszczenia i wyszumowania zależeć będzie, czy żelatyna będzie mętna, czy też zupełnie przezroczysta.

W miarę, jak się woda wygotowywa, trzeba dolewać po troszeczku zimnej. Lepiej używać do gotowania żelatyny wody miękkiej, niż twardej. Można brać wodę rzeczną lub nawet stawową, tylko ją trzeba doskonale przefiltrować. Skórkę i nóżki należy gotować do miękkości, ale ich nie rozgotowywać, gdyż żelatyna będzie nieklarowna.

Gdy się okaże, że skórka jest miękka, zlewamy płyn, cedząc go dwukrotnie przez gęste włosiane sito, potem przez worek płócienny. Płyn ten powinien być czysty, jak lza.

Dla zastygnięcia wylewa się go na talerze i półmiski odwrócone dnem do góry, nalewając na każde dno normalnego talerza pełną łyżkę stołową. Na tych talerzach zostawiamy żelatynę na przeciąg 12 godzin. Po tym czasie powinna ona dobrze stężeć. Gdy już dobrze zastygła, zdejmujemy ją. Przy tej czynności należy żelatynę możliwie jak najmniej dotykać. Podważa ją się ostrożnie nożem w jednym końcu i ujmuje koniuszkiem palców na samym brzeżku i kładzie na siatki rozpięte na ramkach (podobne, jakich się używa do suszenia jarzyn, owoców, nasion i t. p.).

Na siatkach tych ustawionych w ciepłym, a przewiewnym miejscu zostawia się żelatynę na przeciąg kilku dni, aby doskonale wyschła. Gdy się ją robi latem, to doskonale do suszenia nadają się strychy i wszelkie poddasza, w zimie pokój służący za suszarnię musi mieć najmniej 15—16° C.

Z pozostałej skórki można wygotować jeszcze drugie tyle żelatyny, gotując ją do kompletnego rozgotowania. Żelatyna ta nie będzie nigdy całkiem klarowna, ale do wszelkich kremów może być doskonale używana.

Marja Dąbrowa.

ODZWYCZAJENIE KWOK OD SIEDZENIA

Plagą letnich miesięcy w kurniach jest to, że kury masowo kwoczą i chcą siedzieć.

Z faktem tym należy walczyć i pamiętać, że wogóle coś wart jest jedynie drób z wczesnych legów. Pisklęta, wyklute późno, z zasady odznaczają się tem, że są wątłe i trudne do odchowu, czyli takie, jakich w racjonalnie prowadzonych fermach drobiarskich wogóle nie powinno być.

Kury kwoczące należy od tego odzwyczajać, t. j. tak im obrzydzić siedzenie, aby się do niego zniechęciły i znów zaczęły nieść.

Dobrym środkiem, prowadzącym do tego celu, jest umieszczenie kury w ażurowej klatce, zbudowanej z rzadkich prętów, które utrudniają siedzenie. Klatkę taką umieszcza się gdzieś wysoko, np. wieszając ją na gałęzi drzewa. Chodzi tu o to, aby kura miała przewiew od dołu.

Klatkę tę należy ustawić na czterech wbitych w ziemię kołkach lub zawiesić na gałęzi drzewa, gdzie kury chodzą. Kwoczące kury sadza się do klatek po jednej sztuce, wstawiając tam jednocześnie dwie blaszanki, jedną na ziarno drugą na wodę.

Kwoki, siedząc w takich klatkach, są zwykle szalenie zaniepokojone o swój los, zwłaszcza, że widzą inne kury swobodnie chodzące. Pod wpływem tego niepokoju i śledzenia tego, co robią ich towarzyszki, zapominają o kwoczeniu.

Po wypuszczeniu ich zpowrotem na wolność poczynają biegać za kurami i jeśli są tylko dobrze żywione, w krótkim czasie zaczynają się nieść.

Do odzwyczajenia kury od kwoczenia wystarczy ją przetrzymać w takiej klatce przez przeciąg dwóch, do trzech dni. Wszystkie inne środki jak np. ustawiczne spędzanie kury z gniazda nie prowadzą do celu, a praktykowane w niektórych okolicach pławienie kwok w zimnej wodzie jest bezmyślnym okrucieństwem, nie „mającym na kwoczenie żadnego wpływu.

Remiszewska.

ODPOWIEDZI DZIAŁU OGRODNICZO - HODOWLANEGO

Marja Tarniecka w Dąbrownicy. Jak sprawdziliśmy, żadna z naszych firm ogrodnich sadzonek ananasów nie może dostarczyć, proszę się zwrócić do właścicielki Rychłocić, p. Trepzychowej, powołując się na „Bluszcz“ i p. Aurę Wyleżyńską.

Podajemy adres: P. Trepzychowa, Rychłocice poczta Widawa, woj. łódzkie.

Dom i gospodarstwo

CO I GDZIE

Niezależnie od spraw domowych i interesów, które spadają na barki pani domu przed wyjazdem z większą intensywnością niż zwykle, przybywa jej troska o ekwipunek wyjazdowy.

Zależy on nie tylko od miejsca, do którego się wyjeżdża, ale i od budżetu. Wszyscy o tem wiedzą, tylko niestety, nie zawsze się stosują do tej zasady. Stojąc tedy na stanowisku budżetowym, przygotować trzeba garderobę odpowiednio do miejsca, do którego się wyjeżdża. Czego innego bowiem potrzeba nad morze, czego innego w góry, do miejscowości kuracyjnej lub na wieś. Bardzo ważną rzeczą jest zapoznanie się z lokalnymi warunkami miejscowości, do której się wyjeżdża. Bo kardynalnym brakiem w garderobie nie zawsze można zaradzić w miejscu pobytu, a zresztą uszczuplają one budżet wyjazdowy. Powstaje stąd szereg dotkliwych przykrości. Np. wyrzeczenie się milej wycieczki, bo trzeba było kupić płaszcz kąpielowy, pantofle lub ciepły sweter.

Wśród ogólnych wskazówek wyjazdowych zapamiętać trzeba dwie: to zaopatrzenie się w odpowiednie ubranie na deszcz i zimno.

Znamy tych naszych wakacyjnych wrogów. Obryzdują skąpoliczone dni wypoczynku, przychodzą zwykle nie w porę. Deszcz potrafi padać kilka dni z rzędu. Klniemy go wtedy, na czem świat stoi. Tymczasem zamiast kłaść, lepiej zabrać ze sobą płaszcz nieprzemakalny płócienny, gumowy lub z podgumowanego jedwabiu (wreszcie jakiś stary, wełniany, któremu już nie zaszkodzi!). Do tego beret, czapkę lub nieprzemakalny kapelusz. Pończochy fil d'ecoss'owe, starą sukienkę (ale nie brudą ani podartą!). Nieprzemakalne obuwie skórzane lub na gumowej podeszwie, parasol i... I wyjść na spacer nawet w czasie deszczu, zamiast kwasić się i nudzić w domu. Niema takiego lata i takiej miejscowości, w której anty-deszczowe rzeczy leżałyby bezużytecznie.

Drugi nieodzowny atrybut naszej



letniskowej garderoby, to ciepłe ubranie! Po deszczach przychodzą chłody, a „od świętej Anki chłodne wieczory i ranki” — już nas nie opuszczają. To też wszelkie ciepłe palta, pullovery, szale, żakiety, chustki są niezbędne przy wyjeździe na czas dłuższy.

Nieodzowność tych rzeczy zaznacza się dotkliwie, zwłaszcza w górach i nad morzem. Tam po zachodzie słońca robi się nagle bardzo zimno. Bardzo chłodne są również poranki (nawet pani zahartowana słońcem i plażowaniem trzęsie się w powiewnych szatkach!). Duże znaczenie mają ciepłe rzeczy w miejscowościach uzdrowiskowych, zwłaszcza po gorących kąpielach, koncertach i t. p., kiedy tak łatwo nabawić się przeziębienia.

Jest jeszcze jedna uwaga z kategorii ogólnych, o której zapominać nie można. To sprawa wygodnego obuwia. Nogi, zmęczone wysokimi obcasami, botami, asfaltem, odpoczywają w sandałku, wiatrówe lub plecionce. Popularne są różne pantofle płócienne na skórce lub gumie. Są tanie, lekkie, dają się łatwo czyścić płynem, kamieniem i kremem. Z tym typem obuwia harmonizują skarpetki.

Do wycieczek w góry zaopatrzyć się trzeba w specjalne sportowe obuwie na płaskim obcasie i mocnej, grubej podeszwie. Ułatwia ono odbywanie wycieczek i nie naraża pani na śmieszność chwiania się na zboczu na cieniutkim obcasie. Nie grozi wykręcaniem nogi i powrotem do domu z „podbitemi” podeszwami, bez obcasów i... podeszew. O rodzaju obuwia najlepiej poinformować się w sklepie z przyborami sportowymi.

Przechodząc do bliższych szczegółów wyjazdowego ekwipunku, musimy je rozpatrzyć z lokalnego punktu widzenia.

A więc morze. Wymaga ono zupełnie specjalnych ubrań. Spędza się tam pół dnia na plaży. Potrzebne są zatem kostjumy kąpielowe. Najlepsze i najhigijenicznějšíe są wełniane, gdyż prędko wysychają. Dobrze jest mieć dwa na zmianę. Kupować dobry gatunek, żeby kostjum nie stracił koloru i fasonu. Od czasu do czasu sprząć kostjum

w ukropie i, nie wycierając, powiesić lub położyć do wyschnięcia. Ten zabieg przywróci mu fason, o ile kostjum z nadmiarem się rozciągnął.

Niezbędny jest również *plaszcz kąpielowy*, w którym można iść na plażę, osłaniać się od wiatru i leżeć na piasku. Pantofle plażowe powinny być na płaskim obcasie, z płótna lub skóry w formie sandałka.

Strojem wybitnie plażowym są suknie plażowe (robe soleil), mocno wydekoltowane na plecach, odpinające się wygodnie. Dalej kostjumy plażowe o krótkich, szerokich majteczkach (shorts) i jednak piżamy, chociaż prorokowano im śmierć. Na plażę nosi się czapeczki, lekkie kapelusze, o typie specjalnym, *parasolki* barwne, duży *worek* na niezbędne drobiazgi i... *zielone okulary*, osłaniające od blasku słońca.

Na popołudnie nosi się *suknie jasne*, białe i kolorowe do prania lub z welenki czy jedwabiu, spódniczki białe z jumperkami, suknie płócienne. Na wieczór *suknie jedwabne* i *organdy*, o ile pani idzie tańczyć. O całości ekwipunku decyduje rodzaj miejscowości, do której się jedzie. Nawet pomiędzy wioskami rybackimi istnieją duże różnice.

Pani, wyjeżdżająca *do wód*, musi się zastosować do klasy uzdrowska. Naogół w uzdrowsku nie można ubierać się z taką swobodą, jak na wsi lub nad morzem (tam nie nosi się pończoch, co za rozkosz, prawda?). Czas zabierają zabiegi zdrowotne, do których wyrusza się „pod bronią”. Do miejscowości kuracyjnej zabrać trzeba suknie miejskie, o charakterze letnim, dancin-gowe, teatralne, wieczorowe. Komplet ich uzależni pani od swoich upodobań i trybu życia, jaki zamierza prowadzić.

W góry zabrać trzeba wygodne spódnice do chodzenia na wycieczki, (albo spodnie) i uzależnić garderobę od charakteru miejscowości. Wieczorowa sukienka nie zawadzi nawet w zakątku, nigdy nie wiadomo, co może spowodować zabawę.

Na wieś zabiera się suknie jak najprostsze. Dużo barwnych materiałów, obuwie odporne na kurz i rosę. Nie można tylko „donaszać” strojnych sukien, bo to zawsze bardzo brzydko wygląda. Całość ekwipunku będzie zależała też od tego, czy letnisko jest we dworze, czy na chłopskiej wsi.

Bardzo wygodna i niesłychanie pożyteczna jest „wieczna ondulacja”, która oddaje nieocenione usługi w każdym miejscu pobytu. Zawsze pani jest ładnie uczesana, chociaż niema w pobliżu fryzjera.

M. Dobrowolska.

Czytelniczki

nasze

prosimy, by żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, restauracjach, czytelniach i t. d.



Skarby morza

Na coraz to bogatszym rynku spożywczym nie wszystkie artykuły cieszą się należytem uznaniem. Do „zaniedbanych” albo niedocenionych należały i należą jeszcze ryby morskie.

Niezależnie od tego, że pochodzą one z naszego, tak niedaleko od stolicy położonego morza, że cena ich jest więcej, niż przystępna (co w dzisiejszych ciężkich czasach przemawia żywo do budżetowej wyobraźni), ogół spożywców nie może się jakoś przekonać do transportowanej ryby morskiej, jako zasługującego na wprowadzenie do jadłospisów dania.

Przypisać to należy temu, że o ile ryby morskie, spożywane na wybrzeżu nieomal że wprost z sieci rybackiej, są wyśmienitym przysmakiem, transportowane, odznaczają się zawsze specyficznym aromatem, który odstrasza wrażliwe podniebienie i wyczulone powonienie.

Umiejętność przyrządzania każdej potrawy, a ryby morskiej w pierwszym rzędzie, jest odpowiedzialna za jej smak i dlatego może ta nieszczęsna ryba, złowiona w sieci ku pożytkowi spożywcy, cieszyć się stosunkowo małym jego entuzjazmem.

Witamy radośnie flondry i dorsze na stołach pensjonatów i jadłodajni nadmorskich. Widząc je spiętrzone w drzwiach naszych sklepów spożywczych, niejednokrotnie odwracamy się od nich z niechęcią i unikamy smugi aromatu, jaka się z nich wydziela.

Jest to pierwszy etap negatywności. Drugi to ryba morska już nie w sklepie, ale na półmisku, jeżeli przyrządzono ją bez należytych względów.

W ostatnich tygodniach został zorganizowany stały dowóz nienagannie świeżych ryb morskich, przechowywanych od chwili złowienia do chwili dostarczenia na rynek handlowy we wzorowo urządzonej chłodniach. Ryba zostaje oddana do rąk sprzedawców w stanie nienagannym, odpowiadającym całkowicie najdalej idącym wymaganiom higieny i smaku.

Ale ta „chwila oddania” jej do

rąk sprzedawców bywa nieraz chwilą przełomową, godzącą zarówno w dalszy rozwój zbytu, jak w interesy konsumenta.

Czyja w tem wina?

Czy wchodzi tutaj w grę niedbałość, lub nieumiejętne przechowywanie, czy też zbyt intensywne zarządzanie rynku handlowego produktem, do którego trzeba dopiero przyzwyczaić konsumenta, trudno osądzić bez zbadania tej sprawy u podstaw. Dlatego też przedwczesne i niesprawiedliwe byłoby zrzucanie winy jedynie na barki kupców spożywczych.

Faktem jednak jest niezaprzeczone, że, o ile pierwszy, zapowiedziany w pismach codziennych, transport ryb morskich, spotkał się z entuzjazmem i czynnym zainteresowaniem publiczności, nie zawołał jej zaufania, o tyle dalsze transporty pozostawiają wiele do życzenia.

Ryba morska transportowana, jeżeli konserwacja jej pozostawia cośkolwiek do życzenia, może raz na zawsze zniechęcić spożywcę.

Dlatego też w imię interesu szczerześliwie pomyślanej i dobrze zorganizowanej imprezy handlowej, mającej utworzyć rybnemu morskiemu na wielką skalę drogę do rynków handlowych detalicznych, jak i interesu lub tej, zyskującej smaczny, wartościowy i nadwyras tani posiłek, konserwacji tej nie można traktować po macoszemu.

Pozatem chcąc, aby produkt, wprowadzany masowo na rynek handlowy, potoczył się po linii najmniejszego oporu, nie wolno w okresie zdobywania dla niego terenu liczyć tylko na jego rzeczywiste walory.

Walory te konsument uzna dopiero czasem i tak, jak z trudnością dał się przekonać, tak raz przekonany będzie trwał wiernie na nowej placówce.

Ale psychologia konsumenta składa się z różnorodnych pierwiastków, wśród których pierwszorzędną rolę gra wyobraźnia, więc do niej trzeba umieć przemówić.

To też przemawia do niej skutecznie wspaniała flondra, czy okazały dorsz, umieszczone pod przykryciem, na lodzie poza taflą szyby wystawowej, a odstrasza stos tych samych ryb niedbale rzuconych do prymitywnej paki, na dzień której błaka się kilka kawałków brudnego lodu, tem więcej, jeżeli dla reklamy i przyciągnięcia publiczności, pakę tę ustawia się w otwartych drzwiach sklepu na operacji słonecznej, ułatwiając bezpośredni dostęp kurzu, kopciui i miejskich wyziewów.

Ten pierwszy system podania



bezsprzecznie podnieca wyobraźnię i budzi pożądanie, ten drugi wywołuje odrazę.

Trzeba zatem umieć podać, aby znaleźć chętnych, którzy sięgną po towar, a w dodatku przyjąć za zasadę, że jednorazowe chociażby zbagatelizowanie interesu klienta, przez podanie mu nieświeżego towaru, pociąga za sobą jeżeli nie kompletną to w każdym razie długotrwałą utratę zaufania.

Mało kto, po przyniesieniu do domu specyficznie woniejącej wodą morską, (śledziem w najgorszym gatunku!) nieświeżej ryby, przypisze winę swojej nieuwadze, albo niesumienności kupca. Przeciwnie, każdy nieomal wyceluje ciężkie działo przeciwko nieszczęśliwej ofierze — rybie morskiej, odmawiając jej wartości, które bezsprzecznie posiada.

To też czynnikiem miarodajnym nie wolno poprzestać na wzorowym zorganizowaniu dostawy, bo, jak uczy doświadczenie, nie wystarcza dowieszenie do centrum handlowego towaru pod każdym względem wartościowego, trzeba jeszcze roztoczyć kontrolę nad dalszym jego losem.

Powodzenie, czy niepowodzenie handlu rybami morskimi to sprawa ważniejsza, niż przeciętny interes handlowy. Zależą one tutaj interesy prywatne i państwowe.

Polskie morze to żrenica naszego oka, to też nie wolno bagatelizować jego darów, a trudno wymagać od naszych tak bardzo dzisiaj ograniczonych budżetów, aby przewidywały pozycje na kupowanie cuchnących ryb, które po nabyciu trzeba wyrzucić.

Jeżeli ryba morska dojdzie rąk naszych w takim stanie, w jakim zostaje dowieziona do ośrodków handlowych, może liczyć na jak najdalej idące poparcie konsumentów, którzy ocenią jej wartość odżywcze, smak i tak bardzo niską cenę. Jeżeli nadal nabywana nawet w pierwszorzędnym firmach będzie tak bardzo wątpliwej świeżości, jak to się w ostatnich czasach zdarza, los jej i los całej imprezy jest zgóry przesądzony.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

RYBY MORSKIE.

Sposób przyrządzania ryb morskich. Ryby morskie, spożywane na miejscu, mają wyśmienity delikatny smak, wolny od wszelkich specyficznych naleciałości. Natomiast gdy od chwili połowu do chwili przyrządzenia, z transportem włącznie, dzieli je dłuższy przeciąg czasu, nabierają charakterystycznego aromatu, który zniechęca wiele osób do spożywania ich, jako przysmaku.

Wina przypada tutaj w udziale nieumiejętnemu przyrządzaniu ryb morskich transportowanych, które nie dorównają wprawdzie nigdy rybom, pochodzącym wprost z morza, jednak mogą stać się podstawą dań prawdziwie smacznych, wolnych od niedoborów, zniechęcających smakosza.

Rybę morską, zarówno *dorsza*, jak i *flondrę* trzeba oczyścić na sucho, oplókać pod bieżącą zimną wodą. Osączyć. Nie moczyć.

Wymytą rybę sparzyć wrzącą, lekko osoloną wodą, powtórnie osączyć, nasolić, skropić obficie sokiem cytrynowym i pozostawić tak około dwóch godzin. Pod wpływem kwasu mięso ryb jędrnieje.

Gotując rybę morską, trzeba przygotować zawczasu esencjonalny smak na podstawie włoszczyzny, cebuli i korzeni. Smak przestudzić, włożyć w letni rybę w całości, lub podzieloną na dzwona. Raz zagotować, przykryć, odstawić na bok, aby nie stygła, lecz już się nie gotowała. W przeciągu godziny dojdzie w ten sposób na parze i nabierze wyborowego smaku.

Do smaku nagotowanego włożyć równocześnie z rybą kilka kawałków węgla drzewnego, który wchłania odór morski.

Smażenie ryb morskich nie różni się w niczem od smażenia ryb rzecznych, dlatego też nie będę o niem specjalnie mówiła. Przygotować, jak wyżej.

Dorsz po parysku. Oczyścić i przygotować dorsza, jak powyżej. Ugotować w smaku z włoszczyzny. Po godzinie wyjąć ostrożnie, osączyć. Gdy ryba trochę przestygnie, zdjąć ją delikatnie z ości, starając się nie dzielić na małe kawałki. Ułożyć na podłużnym ogniotrwałym półmisku wysmarowanym masłem.

Przygotować następujący sos: 15 dkg. młodych, bardzo białych i jędrnych pieczarek, pokrajanych na plasterki, skropić sokiem cytrynowym, udusić na obfitem masle, nie soląc. Oddzielnie rozetrzeć łyżkę świeżego masła deserowego z czubatą łyżką mąki pszennej, rozebrać smakiem, na którym gotowała się ryba, dodając szklanek młodej, wyborowej kwaśnej śmietany. Zagotować. Włożyć pieczarki duszone. Doprawić sos do smaku, lekko przestudzić, zaciągnąć trzema żółtkami rozbitymi z łyżką smaku z ryb. Polać

tym sosem rybę (sos powinien być tak gęsty, aby osiadł na rybie, a nie ściekał z niej), posypać obficie tartym serem szwajcarskim, skropić masłem. Zapiec na rumiano. Wydawać wprost z pieca.

Dorsz w sosie chrzanowym. Ugotować dorsza, jak wyżej, osączyć, ułożyć na podłużnym półmisku, przybrać kartofelkami z wody i zalać sosem chrzanowym tak, aby przykrył całkowicie rybę i kartofle.

Sos chrzanowy. Utrzeć dwa grube korzonki chrzanu. Wymieszać 2 szklanki śmietany z jedną szklanką słodkiego mleka, soląc lekko, aby się nie ścięła w gotowaniu. Rozpuścić łyżkę masła, dodać 2 łyżki mąki, zasmażyć nie rumieniąc. Wlać śmietaną z mlekiem do masła z mąką, zagotować na wolnym ogniu, mieszając bezustannie. Do zagotowanego sosu dodać utarty chrzan, doprawić octem, solą, cukrem, jeszcze raz zagotować, dodać łyżkę świeżego masła i trzy żółtka rozbite ze śmietaną. Polać rybę bardzo gorącym sosem. Oddzielnie dać kartofelki z wody z masłem i siekaną zieleńką.

Dorsz w sosie pomidorowym. Oczyszczony dorsz raz zagotować, trzymać ½ godziny w smaku pod przykryciem. Wyjąć, osączyć.

Wysmarować rynek ogniotrwałą masłem, ułożyć warstwę ryby, zalać sosem, dać znów warstwę ryby, znów sos i tak aż do wypełnienia rynki. Dusić w średnim piecu pół godziny, przykryte kawałkiem pergaminowego papieru wysmarowanego masłem. Na wydaniu posypać siekaną natką od pietruszki. Oddzielnie podać delikatne kluseczki kładzione. Sos do zalania ryby zrobić na podstawie cebulki duszonej w masle, świeżych duszonych prze-fasowanych przez sito pomidorów, albo konserwy pomidorowej i rosolu z ryby, z buljonem. Zaprawić masłem z mąką, zagotować. Doprawić do smaku solą, odrobiną cukru i odrobiną białego pieprzu mielonego. Powinien być gęsty.

Dorsz smażony. Oczyszczony i przygotowany, jak powyżej dorsz podzielić (na surowo) na dzwona. Otarzać w mące pszennej, umaczać w rozbitym jajku, skrzyżać w tartej bułeczce. Smażyć na obfitym tłuszczu na złoty kolor. Podawać rybę wprost z patelni przybraną tartym chrzanem, ćwiartkami cytryny i młodziutkimi listkami zielonej sałaty. Oddzielnie podać sałatę, albo mizerję.

Flondry z wody z masłem i jajami na twardo. Oczyszczone i przygotowane, jak wyżej flondry raz zagotować w esencjonalnym smaku, przykryć, trzymać w gorącym smaku, nie gotując, pół godziny. Ugotować dowolną ilość jajek na twardo, przepuścić raz przez maszynkę od mięsa. Sklarować w rondelku dosyć dużą ilość masła deserowego, wrzucić w gorące masło siekane jaja. Wymieszać, dodając trochę bardzo drobno siekanej natki od pietruszki. Wyjąć osączone flondry na półmisek, polać masłem z jajami. Przy-

brać całymi kartofelkami, posypać jeszcze wszystko siekaną natką. Wydawać bardzo gorące.

Flondry „au gratin“. Oczyszczone i przygotowane odpowiednio flondry otarzać w mące pszennej. Osmażyć na obfitem masle, z obydwóch stron na rumiano. Ułożyć ryby na ogniotrwałym półmisku, skropić obficie białym winem owocowym półwytrawnym, posypać grubo tartą osianą bułeczką, pokryć małą kawałkami masła deserowego. Zapiekać w średnim piecu 20 do 25 minut, zwiększając ogień w ostatniej chwili, aby się z sera wytworzyła złocista polewa.

Krokiety z ryb morskich z groszkiem zielonym. Ugotować 1 kg. dorsza w sposób powyżej podany, osączyć doskonale ze smaku, studząc na sicie. Zimną rybę oczyścić starannie z ości, przepuścić przez maszynkę. Dodać 2 bułeczki namoczone w mleku (dobrze odcisnięte), ucierając je na niepolewanej misce z trzema żółtkami. Udusić 5 dkg. masła z jedną sporą cebulą drobniutko posiekaną, dodać do farszu wymieszanego z bułeczką i jajami. Wszystko to razem doskonale wyrobić łyżką drewnianą, osolić, dodać odrobinę białego pieprzu mielonego, siekanej natki od pietruszki, albo koperku. Formować zręczne podłużne krokiety (wałeczki), maczać w rozbitym jajku, tarzać w tartej bułeczce. Smażyć na obfitem rozgrzanym masle, jak pączki. Osączyć z tłuszczu, podać przybrane smażoną natką od pietruszki. Oddzielnie sałatę, mizerję, albo groszek zielony duszony z masłem.

Flondry duszone z jarzynami. Uszatковать sporo jarzynek i cebuli. Wlać na dno rondelka odrobinę rosolu, albo buljonu, włożyć spory kawałek masła. Wsypać jarzynki, dusić 15 minut pod przykryciem.

Przygotować flondrę, jak wyżej (trzymać oczyszczoną, sparzoną, osoloną do dwóch godzin w soku cytrynowym), ułożyć na jarzynkach, polać białym winem owocowym półwytrawnym, dusić na wolnym ogniu pod przykryciem. Gdy ryby miękkie, wyjąć je ostrożnie na półmisek, przykryć jarzynkami, polać sosem holenderskim. Oddzielnie podać kartofelki z wody z siekaną zieleńką.

Salatka z pozostałej ryby z jarzynkami. Ugotować kilkanaście młodych kartofelków, trochę groszku zielonego, marchewki, fasolki szparagowej. Wszystko to wystudzić. Marchewkę, kartofelki, fasolkę pokrajać drobno, groszek osączyć. Wyłożyć szklaną salaterkę młodziutkimi listkami zielonej sałaty, dać na sałacie warstwę ryby. Na wierzchu powinny wypaść jarzynki. Przygotować zaprawę w sposób następujący: 6 łyżek oliwy nicejskiej, 2 łyżki soku cytrynowego, albo wyborowego octu stołowego, odrobinę pieprzu białego, cukru do smaku, łyżkę mocnego buljonu, dużo siekanej zieleńki (szczypiorek, kopek, natka). Wszystko to razem wymieszać, zalać sałatkę. Postawić w chłodzie co najmniej na godzinę przed podaniem.

Melba.

Wyjazd dzieci na kolonie letnie

W dniu 20. VI. r. b. odbył się wyjazd dzieci na kolonie Rady Szkolnej m. st. Warszawy. Z Dworca Wileńskiego wyruszyły dwa specjalne pociągi „kolonistów“, jeden do Łomży, drugi do Małkini. Na pierwszy sezon wyjechało 1400 dzieci. Tak sama ilość wyjedzie i na drugi sezon. Odjeżdżających zegnali rodzice oraz członkowie Prezydium Rady Szkolnej: p. Prezes Lepecki i p. sekretarz Stan. Dobraniecki.

W porównaniu z rokiem ub. liczba dzieci, wysyłanych na kolonie, zwiększyła się prawie dwukrotnie, dzięki przychylnemu stosunkowi władz państwowych i miejskich do zwiększonego zakresu działania, ukonstytuowanych niedawno, władz Rady Szkolnej m. st. Warszawy.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Ludmiła Hałasińska, Pleszew.

Za zaliczeniem pocztowym wzorów nie posyłamy, na zamówienie możemy wzory narysować w naturalnej wielkości w cenie 2 zł. od rysunku. Jeżeli Sz. Pani prześle nam za 5 zamówionych wzorów sumę 10 zł., wzory te prześlemy w ciągu tygodnia.

Książki nadesłane do redakcji

GEBETHNER I WOLFF:

Jerzy Giżycki: „Biali i czarni“, fragmenty kolonjalne.

**POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY.
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY.**

9. *Gustaw Morcinek:* „Dzieje węgla“.
10. *Aleksander Janowski:* „W stolicy“.
11. *Helena Boguszewska:* „Dzieci znikąd“
12. *Gen. Juljusz Römmel:* „Wspomnienia z bojów kawalerji.“
13. *Jim Poker:* „Płyną polskie okręty“...
14. *Gen. Juljusz Römmel:* „Kawalerja polska w roku 1920“.
15. *F. A. Ossendowski:* „Afryka, kraj i ludzie“.
16. *Hanna Mortkowiczówna:* „Skarby ziemi“.
17. *Janusz Meissner:* „Na błękitnych gościńcach“.
18. *Herminja Naglerowa:* „Ludzie prawdziwi“.
19. *Eugenjusz Malaczewski:* „Na dalekiej północy“.
20. *St. M. Saliński:* „Pod banderą syreny“.

Dom Książki Polskiej.

Jerzy Bandrowski: „Na polskiej fali“, powieść dla młodzieży z rycinami. Wydanie trzecie. Warszawa 1954.

Marja Janowa Kasproviczowa: Dziennik. Część V Harenda.

Dr. J. Śmiarowska: „Higijena mężatki“. Warszawa 1954.

Dr Michałek-Grodzki
OPERACJE KOSMETYCZNE
Złota 5 (lecznica) Warszawa

WYTWÓRNA FORM BIBUŁKOWYCH

TOW. WYD. „BLUSZCZ“

„Moja Krawcowa“

posiada na składzie formy bibułkowe wszystkich modeli zaopatrzonych numerem i literą podawanych w „Bluszczu“.

Dobra forma bibułkowa jest niewątpliwie podstawą każdej eleganckiej sukni, jeśli pani tę suknię szyje sama, lub przy pomocy domowej krawcowej, należy więc stanowczo przed skrojeniem sukni, palta czy kostjumu zamówić formę bibułkową. Zrobić to trzeba w następujący sposób: po wybraniu modelu porównać swoją miarę z jedną z podanych wielkości.

wielkość I gors (połowa) 44 cm., biodra 50 cm.

wielkość II gors (połowa) 48 cm., biodra 52 cm.

wielkość III gors (połowa) 56 cm., biodra 60 cm.

i na załączonej do wycięcia karcie, lub na zwykłej karcie pocztowej wypisać numer, i literę modelu oraz jego wielkość.

Ceny form bibułkowych są następujące:

kategoria I: suknie, palta, kostjумы, szlafroki, piżamy — zł. 1.50

kategoria II: spódnice, bluzki, bielizna, formy dziecięce — zł. 1.—

Przesyłka pocztowa 30 gr.

Równocześnie z zamówieniem trzeba przesłać należność przekazem pocztowym lub na konto P.K.O. 170. Forma zostanie wysłana natychmiast po otrzymaniu należności.

Zamawiającym za pobraniem pocztowym dolicza się koszty przesyłki w sumie

1 zł. 35 gr.

UWAGA: Wytwórnia „Moja krawcowa“ podejmuje się również wykonania form bibułkowych do dostarczonych modeli z innych pism w cenie 2 zł. 50 gr. za formę kateg. I i 2 zł. za kateg. II.

Najtańsza stosunkowo do objętości,
najobszerniejsza (około 3.000 przepisów),
ponadto bogato ilustrowana

M. MARCISZEWSKIEJ

„DOSKONAŁA KUCHNIA“

Niezbędna dla każdej dobrej gospodyni

w futerale ceną zł. 10.—

Przy wysyłce pocztą porta nie liczymy.

Wszystkie te książki są do nabycia w każdej księgarni i w Tow.
Wyd. „BLUSZCZ“ — Warszawa Solec 87 i Pl. Zamkowy 9.

WSZYSTKIM PANIOM
POLECAMY DOSKONAŁE KSIĄŻECZKI WYDAWNICTWA
„ŻYCIE PRAKTYCZNE”

Konfitury, kompoty i inne konserwy owocowe
Zbiór i przechowywanie owoców
Potrawy z jarzyn
Co można zrobić z mleka
Co można zrobić z owoców
Co trzeba wiedzieć o grzybach
Potrawy i konserwy z grzybów
Potrawy z kartofli
Sałaty i sałatki
Zimne leguminy
Jarzyny na zimę
Książka kucharska dla oszczędn. gospodyń

Drób i sposoby przyrządzania
Hodowla i tuczenie drobiu
Jarstwo i surówka
Obiady na maszynie
Wina owocowe
Zimne napoje
Zimne zakąski
Wyrób serów
Pieczywo domowe
Sto potraw z jaj
Zioła lekarskie najlepszym źródłem dochodu

Cena każdej książeczki 1zł. z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

DO NABYCIA W TOW. WYD. „BLUSZCZ”

Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich większych księgarniach

**Jak wykonać cały szereg wykwintnych,
modnych rzeczy, nauczy Panie książeczka**

p. t.

„ARTYSTYCZNE
PIKOWANIE”

w opracowaniu T. GŁĘBOCKIEJ

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” —
Warszawa, Solec 87, i Świętokrzyska 17
m. 3 oraz we wszystkich większych księgar-
niach. Konto P.K.O. 13.555.

CENA 1 zł. 50 gr. z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

